Nr. 287. Lwów — Piątek dnia 16 Grudnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 3 k. 20 h, w Niemczech 5 „ —, w innych Państwach 4 „ —. Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 3 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 28 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy nast. i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i prenumeratę miejscową przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Seelowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana L. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h, tłustym garmondem „ „ 6 h, koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Adelajdy, Sofoniusza. Jutro: św. Łazarza B., Barbary. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 7 m. 52, Zachód „ „ 4 m. — | Długość dnia godzin 8 min. 8. Ubyło dnia od wczoraj 7 min.

Wypadki węgierskie.

Piszą nam z Pesztu 13 grudnia:

(∾) Spodziewano się, że zaraz na pierwszem posiedzeniu izby poselskiej będzie burza: opozycya zapowiedziała ją 18ego listopada, natychmiast po przyjęciu tymczasowego regulaminu; dlatego właśnie odroczono sesyę aby namiętności nieco przygasły. Opozycya jednak ustawicznie przypominała, że „gwałt“, to jest przyjęcie regulaminu tymczasowego, odeprze gwałtem. Nikt tedy nie wątpił, że burza wybuchnie, lecz nie przypuszczano, aby się mogła objawić jako niszczący huragan, jako szał wściekłości, zwrócony przeciw gwardzistom, ścianom i meblom. Jeżeli zupełnie pominiemy pytanie: po której stronie racya stanu? a będziemy się zapatrywali na większość i mniejszość jako na dwie wojujące armie, to musimy przyznać, że opozycya z nawiązką odpłaciła się liberałom za 18ty listopada. Sam Tisza przyznał, że przyjęto wówczas wniosek Daniela „z naruszeniem form dla uratowania istoty parlamentaryzmu“. Hr. Juliusz Andrassy oświadczył w swym liście otwartym do wyborców, że „istota parlamentaryzmu objawia się w jego formach, których zatem naruszać nie wolno, jakże bowiem zabrać komuś życie, nie zepsuwszy ciała.“ A nadto dodał Andrassy: „Co dziś pozwolimy Tiszy, to potem będzie mógł zrobić ktoś inny, już nie dla ratowania istoty parlamentaryzmu, ale dla jej zabicia“. Jednak logika ta o tyle szwankuje, że czy Węgrzy pozwolą Tiszy naruszać formy, czy nie pozwolą, to w przyszłości ktoś potężny, gdy jeno zechce, bez ceremonii usunie parlamentaryzm. Gwałtownicy nie szukają precedensów. A zresztą, jeżeli ktoś da sobie wyrwać ząb, to jeszcze nikogo przez to nie uprawnia do wybijania mu zębów. Lecz chociaż logika hr. Andrassy'ego nie była ścisła, opozycyoniści przyjęli ją za ewangeliczną prawdę i z naruszeniem wszelkich form przyzwoitości zadali gwałt formie uchwalonej przez większość. Tu się zatem kończy pierwszy akt parlamentarnego dramatu.

Co począć dalej? Czy przy pomocy sejmowej gwardyi, a w ostateczności nawet honwedów spętać opozycyę? Możeby to uszło jeszcze na wiosnę, kiedy obstrukcya składała się z Ugronów, Lengyelów, Szederkenyich i innych osobistości, równie małego znaczenia, i kiedy na czele rządu stał Szell, któremu nie zazdrościł żaden magnat. Dziś jest już inaczej. Opozycya nietylko teraz znacznie liczniejsza, niż była na wiosnę podczas ówczesnych orkanów, ale nadto należą do niej wybitne rody. W dziejach węgierskich pełno nadzwyczajnych burz i wojen domowych, wywoływanych przez rywalizacye magnatów. Z tem i teraz trzeba się liczyć. Po stronie obstrukcyonistów stanęli przedstawiciele wielkich historycznych rodów: Andrassy, Batthyanyi, Apponyi, Zichy, Hadik, Banffy, a nadto wybitni politycy Rakovszky, Justh, Kossuth, Polonyi i inni. W szeregach obstrukcyonistów widzimy byłego prezesa ministrów, byłego ministra przy boku cesarskim, byłego prezydenta izby poselskiej. Nadto izba magnatów się chwieje, nie chce szkodzić Tiszy, lecz wcale nie gani obstrukcyonistów. Są także chwiejni w rządowej większości. Nie można tedy iść przebojem.

Toczą się teraz poufne układy przez pośredników. Być może, iż jakieś wzajemne ustępstwa utorują drogę do pozornej i krótkiej zgody. Lecz wartość jej w każdym razie będzie minimalna. Tego zdania są przyjaciele Tiszy i — jak tu zapewniają — wszyscy członkowie gabinetu, który występuje bardzo solidarnie. Na wczorajszej naradzie gabinetowej przemawiano za niezwłocznem rozwiązaniem izby poselskiej, aby nie dopuścić do drugiego takiego wybryku, jak poniedziałkowy. Ale stronnictwo rządowe sprzeciwia się rozwiązaniu izby. Zwłaszcza niedawni członkowie partyi narodowej z Szent Iwanyi'em na czele przemawiają za niewyciąganiem konsekwencyi z poniedziałkowej burdy, ponieważ ona odbyła się nie na posiedzeniu sejmowem, lecz o dwie godziny przedtem, kiedy królewskiem orędziem sejmu jeszcze nie otwarto, kiedy zatem nie było go, a więc on nie może się uważać za obrażonego. Takie zapatrywanie dogadza wielu członkom rządowej większości, więc oczywiście gabinet musi z tem się liczyć i uważać, że burda o tyle jeno obchodzi sejm, iż się odbyła nie w jakiejś knajpie, lecz w gmachu parlamentarnym. Lecz takie wyjście jest właściwie ustępstwem dla obstrukcyonistów, a kto od tego zaczął, ten na jednem ustępstwie nie skończy

Walka z czynownictwem.

Społeczeństwo rosyjskie nie przestaje ani na chwilę natarczywie domagać się reformy rządowego ustroju, chociaż ze sfer najwyższych dano mu wyraźnie do zrozumienia, że nie czas na przeróbki, gdy się toczy wojna. Pomijając demonstracye uliczne, urządzane przez młodzież akademicką, podnieść trzeba oświadczenia zjazdów obywatelskich, które się odbywają niemal we wszystkich miastach, lubo gubernatorowie ich zakazują. W tych zjazdach biorą udział ziemianie i mieszczanie, wogóle wszystkie warstwy społeczne, jakby na dowód, że pragnienie reform jest powszechne. Zapada zawsze ta sama rezolucya: „Zjazd przystępuje do żądań, sformułowanych przez zjazd delegatów ziemstw w Petersburgu.“ Z tego się pokazuje, że owe żądania znane są wszystkim w Rosyi, chociaż ich nikt nie ogłosił. Lubo śmiałe było wystąpienie delegatów ziemstw, ale żeby zanadto nie rozkołysać uczuć, postanowili oni nie rozgłaszać swej rezolucyi. Spisali ją tylko dla ks. Świątopełka-Mirskiego, do którego posłali z nią pięciu swych członków: hr. Heydena, ks. Lwowa, Petrunkiewicza, Rodziankę i Szypowa. Ale jak zwykle w czasach niespokojnych, nie zdołano zachować tajemnicy. Ogół dokładnie wie, o co chodzi, i zgłasza swój akces. Czynownictwo zaczęło więc tłumić ten prąd, żeby przynajmniej prowincyę zachować w nieruchomym spokoju; dziennikom, wydawanym w miastach gubernialnych, zakazało pisać o konieczności jakichkolwiek reform, więc zamiast wyrazu „reforma“ zaczęły one używać wyrazu „wiosna“ i dowodzić, że na wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne biedy może poradzić tylko wiosna, — ona jedna, stokroć potężniejsza od legionu cywilnych i wojskowych ekscelencyj. Wskutek tego cenzura obłożyła interdyktem wyraz „wiosna“: odtąd nie wolno go używać. Takie postępowanie oczywiście nie może być skuteczne, może tylko drażnić. Ogólna niechęć zwróciła się przeciw czynownictwu, poczęto dowodzić, że jest go za wiele, że za drogo ono kosztuje i że nic nie robi. Ogłoszono zdanie jakiegoś bardzo wybitnego męża stanu, który niedawno tak się wyraził: „Byłoby dla Rosyi zbawieniem, gdyby odrazu wszystkich urzędników uwolniono od zajęć i płacono im dożywotnio pełną ich pensyę, aby nie jątrzyli; potem przez lat kilka trzeba byłoby tylko wychowywać dobrych urzędników, a następnie powoływać ich do państwowej służby, ale już w nowych gmachach, aby się nie zarazili duchem, pokutującym w starych kancelaryach.“ Tak się zaczęła walka z czynownictwem. Odsłonięto przytem takie szczegóły, które zapewne nawet Rosyanom nie były znane. Okazuje się naprzykład, że czynownicy pobierają od państwa oprócz pensyi, dodatków na mieszkanie i różnych dyet, jeszcze „arendy“, „dzierżawy“ i „ulgi“. Arendą nazywa się przyznany urzędnikowi dodatek od tysiąca do kilkunastu tysięcy rubli rocznie na lat sześć, dziesięć lub dwanaście; jeżeli jakaś rządowa robota kosztuje mniej, niż na nią wyasygnowano z państwowego skarbu, to tę pozostałość przyznaje władza kilku urzędnikom; oni więc są arendarzami tej oszczędności i dlatego arenda trwa jeno dopóty, dopóki się nie skończy owa robota. Dzierżawą jest oddanie jakiemuś urzędnikowi dochodów z państwowej wioski lub kamienicy. Wreszcie ulgą jest przyznanie wyższej pensyi, a ta nadwyżka nieraz bywa dziesięciokrotną. Z tych przywilejów korzystają urzędnicy nawet wtedy, gdy przeszli na emeryturę; po ich zgonie przechodzi przywilej na ich rodziny. Ale na emeryturę idą z reguły tylko mali urzędnicy; cokolwiek wybitniejsi, albo ci, którzy komuś się zasłużyli, pełnią urząd do śmierci, choćby mieszkali gdzieś na wsi, albo za granicą. Robi się to w ten sposób, że urzędnik, którego emerytura wynosiłaby 300 lub 400 rubli, nie otrzymuje dymisyi, lecz tylko dożywotni urlop z tytułem członka rady przy jakimś zarządzie. Taki tytuł daje najmniej trzy tysiące rubli rocznie. Zdarza się bardzo często, że emeryt jest jednocześnie członkiem kilku rad gubernialnych, jakiejś jednej portowej, chociażby żadnego portu nigdy w swem życiu nie widział, jakiejś jeszcze ministeryalnej, a oprócz tego posiada dzierżawę. I to wcale nie będzie człowiek zasłużony państwu, tylko po prostu będzie miał giętki kark.

Liczba urzędników jest nadzwyczaj wielka. Dzienniki obliczyły, że wszystkie ministerya berlińskie z całym swym personalem mniej mają urzędników i mniej zajmują gmachów, niż jedno petersburskie ministeryum wojny, albo ministeryum finansów. Militaryzm niemiecki uchodzi w Europie za najlepszy, a jednak berlińskie ministeryum wojny składa się tylko z czterech departamentów i nie posiada już żadnych innych oddziałów; natomiast rosyjskie ministeryum wojny, bez sztabu głównego, składa się z siedmiu departamentów, siedmiu osobnych komitetów, jedynastu zarządów specyalnych i odrębnej dykasteryi, zwanej radą wojenną. Niemieckie ministeryum finansów składa się z trzech departamentów, a rosyjskie z ośmiu, z czterech osobnych zarządów i z kilku komitetów, z których każdy ma kilkuset urzędników.

Ile kosztuje cała ta biurokratyczna maszyna? Rosyjskie dzienniki utrzymują, że tego nikt nie potrafi obliczyć. Na same pensye idzie mniej więcej 200 milionów rubli, co stanowi piątą część ogólnych dochodów państwa. Lecz zapewne drugie tyle wynoszą arendy, dzierżawy i ulgi. Zdaniem *Russkiego Wiestnika* połowa budżetu dochodów idzie na czynownictwo i pensye wojskowe.

Czynownictwo robi bardzo mało. Tylko na poczcie i w telegrafie urzędnicy pracują do sześciu godzin na dobę; we wszystkich innych biurach z reguły od 11 ej do 1 ej. W tych dwóch godzinach oni przeważnie wymyślają to, co społeczeństwu albo jest zgoła niepotrzebne, albo nawet szkodliwe. Dziennik *Ruś* tak się roznamiętnił przeciw czynownictwu, że filippikę swą zakończył okrzykiem: „Większym naszym wrogiem od Japończyków jest czynownictwo“.

Ze wspomnień po hr. Taaffem.

Praska *Politik* rozpoczęła przed tygodniem publikacyę korespondencyi politycznej, pozostałej w spuściźnie po byłym prezesie gabinetu hr. Taaffem, a oddanej jej do dyspozycyi widocznie przez rodzinę zmarłego. Początek tej publikacyi zapowiadał się sensacyjnie, gdyż w ogłoszonej w pierwszym artykule seryi siedmiu listów są niektóre istotnie bardzo zajmujące, natomiast drugi artykuł przyniósł rozczarowanie, bo zawiera tylko dwa nic nie znaczące i żadnego historycznego faktu nie wyjaśniające listy Ignacego Plenera i ś. p. x. kardynała Rauschera. Być może jednak, że redakcya praskiego dziennika umyślnie przeplata rzeczy zajmujące z mniej zajmującemi, a najbardziej sensacyjne dokumenty zachowuje dopiero na sam ostatek. Dlatego też sfery zajmujące się polityką, a specyalnie historyą Austryi w ostatnich latach 35, z ogromną ciekawością oczekują dalszej publikacyi tych cennych materyałów historycznych.

Ogłoszone w pierwszym artykule listy, pochodzą wszystkie z roku 1870, gdy prezesem gabinetu austryackiego był hr. Alfred Potocki, a hr. Taaffe ministrem spraw wewnętrznych. Jest tam list byłego ministra spraw zagranicznych księcia Dietrichstein-Mensdorffa, pisany z Pragi 25 lipca 1870, w którym to liście ks. Dietrichstein zdaje hr. Taaffemu sprawę z usiłowań swoich, podjętych celem doprowadzenia do skutku jakiej takiej zgody między Czechami a Niemcami. Było to właśnie w przededniu wybuchu wojny francusko-pruskiej i zachodziła obawa, że także Austrya może być porwana wirem wypadków wojennych, dlatego też sferom decydującym zależało bardzo wiele na tem, by stosunki wewnętrzne w państwie ułożyły się pokojowo.

Książę Dietrichstein wszedł tedy w rokowania z przywódcami szlachty czeskiej: księciem Karolem Schwarzenbergiem i hr. Henrykiem Clam-Martinicem, i usiłował za ich pośrednictwem skłonić Czechów do uznania stanu, stworzonego konstytucyą z r. 1867 i do obesłania Sejmu czeskiego i Rady państwa. Owóż w liście wspomnianym oświadcza ks. Dietrichstein hr. Taffemu otwarcie, że misya jego nie powiodła się, gdyż szlachta czeska właściwie straciła już wpływ swój na inne stronnictwa czeskie i nie jest w możności wprowadzić ich na tory prawdziwie austryackiej polityki. Jakkolwiek lojalność zarówno księcia Schwarzenberga jak i hr. Clam-Martinitza i przywiązanie ich do dynastyi nie podlegają najmniejszej wątpliwości, to jednak obaj oświadczyli wyraźnie, że nie podejmują się stawać na czele jakiejkolwiek akcyi przeciw t. z. partyi deklarantów, to jest tej, która rozwinęła prawno państwowy program czeski.

W końcu wspomina ks. Dietrichstein o tem, ile złego wyrządza szowinistyczna, radykalna prasa — i tak oto pisze w tej mierze: „Najniebezpieczniejszą jednak jest bezustanna agitacya dzienników wrogo występujących przeciw Austryi, a którym dzięki sądom przysięgłych nic zrobić nie można. Wprawdzie prokuratorya konfiskuje pilnie te dzienniki, ale bądź co bądź nim zarządzi i wykona konfiskatę, już znaczna część nakładu rozeszła się między publiczność. Ubolewać przytem należy głęboko nad tem, że żywioły konstytucyjne nie zdobyły się dotychczas na założenie własnego czeskiego dziennika, a prasa niemiecka, jakkolwiek posługuje się bardziej umiarkowanym i przyzwoitym tonem niż czeska, staje jednak zawsze na stanowisku ekskluzywnie niemieckiem. Przytem rozliczne stowarzyszenia (czeskie) stanowią zarodki przyszłego ruchu rewolucyjnego“.

Oprócz tego listu ks. Dietrichsteina ogłoszono w owej pierwszej seryi listy Ignacego Plenera i burmistrza wiedeńskiego dra Kajetana Feldera, pisane do hr. Taaffego w kwietniu 1870 r. Obu tym mężom ofiarowano za pośrednictwem hr. Taaffego teki ministeryalne w gabinecie hr. Potockiego i obaj podają w tych listach powody, dla których tak zaszczytnego wezwania przyjąć nie mogą. Dr. Plener oświadcza mianowicie, że wobec niesłychanego rozdrażnienia, jakie wówczas panowało między stronnictwami, przyjęcie przezeń teki ministeryalnej poczytanoby mu za apostazyę względem stronnictwa, do którego on należy, t. j. względem stronnictwa niemiecko-liberalnego. Autor tego listu jest ojcem późniejszego ministra finansów w gabinecie koalicyjnym dra Ernesta Plenera i żyje po dziś dzień jeszcze w Wiedniu jako starzec 93-letni.

Z innych powodów odrzuca ofiarowaną mu tekę ministeryalną ówczesny burmistrz Wiednia dr. Felder, a mianowicie dlatego, że sądzi, iż na skromnem stanowisku burmistrza jest potrzebniejszy i użyteczniejszy, niż jako minister. W oświetleniu tego listu przedstawia się postać śp. dra Feldera nadzwyczaj sympatycznie. Gdybym przyjął to zaszczytne wezwanie — pisze dr. Felder — nikt nie uwierzyłby mi, że przyjmując je, spełniłem tylko wolę mego Monarchy, a okoliczność, że tego samego niemal dnia, w którym na pełnem posiedzeniu rady miejskiej poruszyłem daleko sięgające plany reform w zarządzie gminnym, opuściłem mój posterunek, dałaby powód do podniesienia przeciw mnie bardzo ciężkich zarzutów. W najlepszym razie posądzanoby mnie o polityczną hipokryzyę, o starannie tajoną dotychczas, wygórowaną ambicyę, o to, że urząd burmistrza uważałem tylko za środek, prowadzący do innego celu. Z takiem piętnem Kaina na czole nie mógłbym należeć do rządu, złożonego z tak czcigodnych mężów, jak Wasza Ekscelencya i hrabia Potocki“.

Dalsze listy są mniejszej wagi, a pochodzą od śp. Władysława Riegera i od ówczesnego namiestnika Czech br. Kellersperga, który usprawiedliwia się z powodu ostrego zatargu, jaki miał z ministrem sprawiedliwości w gabinecie t. z. mieszczańskim (Bürgerministerium) drem Herbstem. Konflikt ten przybrał tak ostre formy, że hr. Taaffe musiał interweniować. Br. Kellersperg w liście do hr. Taaffego wyraża zdziwienie swe z tego powodu, że gabinet uważa za obrazę całego rządu to, co zaszło między nim a Herbstem. To też list br. Kellersperga zawiera takie humorystyczne *postscriptum*: „Bądź co bądź pojąć nie mogę, dlaczego, jeżeli Herbst da mnie w twarz, a ja mu oddam, całe ministeryum ma to uważać za atak na siebie“.

Oto mniej więcej osnowa najważniejszych dokumentów dotychczas opublikowanych. Tego rodzaju dokumentów, jak listów, depesz, brulionów rozmaitych mów i toastów znajduje się w spuściźnie po hr. Taaffem kilkaset, gdyż nieboszczyk z pedantyczną skrupulatnością uporządkował je i przechowywał w osobnych kopertach.

Odczyty X. Adama Sapiehy.

W trzecim odczycie z seryi zapowiedzianych przez X. Adama Sapiehę odczytów w tutejszej „Szkole nauk politycznych“, przedstawił szanowny prelegent treściwy rys dziejów Kościoła unickiego w Polsce w wieku ośmnastym.

Rok 1720 był epokowym w dziejach Unii. W roku tym odbył się w Zamościu staraniem metropolity unickiego Leona Kiszki synod biskupów i xięży unickich w obecności nuncyusza papieskiego. Na synodzie tym proklamowano zupełną niezależność Kościoła unickiego od schyzmy. Był to niejako akt zatwierdzający przystąpienie wszystkich w Polsce dyecezyi kościoła wschodniego do Unii. Przytem na synodzie tym omawiano wiele spraw wewnętrznej organizacyi Kościoła unickiego i postanowiono wiele reform odpowiadających duchowi czasu. Była to w dziejach Unii chwila wielka, lecz tylko chwila. Reformy uchwalone na synodzie częściowo tylko i niedostatecznie dały się później wprowadzić w życie. Najlepsze usiłowania metropolity Kiszki, wielka ofiarność biskupów na niewiele się zdały, brakło bowiem ofiarności publicznej i współdziałania ogółu. Najwięcej piekącym postulatem chwili było należyte wykształcenie unickiego duchowieństwa, niewykształcone bowiem duchowieństwo ani ludu oświecać ani skutecznie przeciwdziałać intrygom wrogów Unii nie mogło. Metropolita starał się sam założyć seminaryum w Włodzimierzu i wogóle jak mógł usiłował podnieść istniejące już duchowne zakłady naukowe. Lecz ogół go nie poparł w jego usiłowaniach, a Bazylianie, którzy na te zakłady największy mieli wpływ, bojąc się, że w wykształconym klerze stworzą sobie niebezpiecznych współzawodników, biernym oporem paraliżowali usiłowania metropolity. A łacinnicy w zupełnem niezrozumieniu chwili także nietylko biskupom unickim dopomagać nie chcieli, lecz wręcz nawet przeszkadzali im w pracy. Zaś ogół unicki zachowywał się wobec reform synodu niedowierzająco i wprost wrogo. Opanowała go jakaś taka obawa przed zbliżeniem się do latynizmu, że wolał by lud pozostał w ciemnocie i by zadań Cerkwi nie wypełniono, niżby Unia miała rozpłynąć się w latynizmie. Nie wierzono bowiem, by Kościół unicki zdołał utrzymać odrębność swojej organicznej całości, a byli nawet i tacy, którzy wprost twierdzili publicznie, że Cerkiew unicka nie jest odrębną całością organiczną, której synod mógłby stanowić prawa. Trzymano się tedy z dziwnym uporem dawnej tradycyi i zwyczaju, nie zważając na to, że mógł on być zgubny lub że był schyzmatycki. Martwy, zatruty schyzmą kościół wschodni między innymi przedewszystkiem w tym kierunku zgubny wywarł wpływ na Unię, że nie zdołała ona zmódz się na stworzenie drugiego zakonu prócz Bazylianów. Monopol Bazyliański zgubnym był dla zakonu samego i dla Unii. Wytworzył on najpierw szkodliwy i niechrześcijański egoizm, później zgubną walkę o władzę, która tak fatalne wydała skutki np. w sporach o prawo wyboru biskupów. Zakon jedyny tak był pracą przeciążony, że zakonnicy choć łamali ustawicznie regułę zakonną, naruszając nawet zasadniczy charakter zakonu, zadaniom swoim ani w części sprostać nie mogli. A uniccy biskupi ówcześni nie wszyscy byli ludźmi odpowiednio mądrymi i dzielnymi, by w sytuacyi tak trudnej mogli stanąć i utrzymać się na wyżynie swego zadania. Byli takimi bezwątpienia Kiszka, Anastazy Szeptycki, Hrebenicki i Smogorzewski, lecz wielu też było niedołężnych i pod niejednym względem niedorosłych do swego zadania, jak Wołodkiewicz, Leon Szeptycki, Młodowski lub Rostocki.

A najniebezpieczniejszym niemal dla Unii czynnikiem w tym czasie było duchowieństwo łacińskie. Podjęło ono jakby jakąś krucyatę przeciw Unii, olbrzymią propagandę przechodzenia na obrządek łaciński; szczególniej szlachtę nakłaniano do zmiany obrządku. Nie zawsze najszlachetniejszą bronią posługiwano się w tej walce. Wytworzyło to dziwne i nieuzasadnione mniemanie o Cerkwi unickiej, którą miano za jakiś „chłopski kościół“, a greckokatolicki obrządek za „chłopskie wyznanie“. Z tej walki w ludzie ruskim wytworzyła się niechęć i zawiść do katolicyzmu i do polskości, które bodaj czy nie najlepszą i najskuteczniejszą broń podały do ręki schyzmie i pozwalały stale utrzymywać się i utrwalać jej wpływom w łonie unickiego Kościoła. Na liczne i głośne skargi unickich biskupów odpowiedział Benedykt XIV-ty encykliką, w której wzbronił zmiany obrządku, nikt jednak do tego zakazu się nie zastosował. Zupełne niezrozumienie istoty Kościoła unickiego dalej jeszcze powiodło łacińskie duchowieństwo. Mimo zakazów papieskich ściągało ono z ludu unickiego dziesięciny, na czem ogromnie dotkliwie cierpiało i tak już licho uposażone, ubogie duchowieństwo unickie. Biskupów jego do senatu nie dopuszczono, wogóle stan prawny tego duchowieństwa był fatalny.

Wszystko to oczywiście na oścież otwierało drzwi intrygom schyzmy przeciw Unii, która cierniem była w oku tych, którzy w nowszych czasach przyjęli ideę cezaropapizmu bizantyńskiego. Na przełomie siedmnastego i ośmnastego wieku liczba dysunitów w Polsce tak była jeszcze małą, że jurysdykcyę nad dyecezyą mohylewską przydzielono arcybiskupowi połockiemu. Lecz już w tym samym roku, w którym odbył się unicki synod w Zamościu, wymógł car na starym królu Auguście to, że zamianował on Sylwestra Czetwertyńskiego metropolitą mohylewskim i w ten sposób stworzył placówkę ingerencyi rosyjskiej w Polsce. Czetwertyński miał całą rodzinę katolicką, sam jednakże był schyzmatykiem zagorzałym, wyemigrował do Rosyi, tam został biskupem smoleńskim i od tej chwili, jak później na stolicy mohylewskiej, ustawicznie knuł przeciw Unii. Jego to intrygi głównie zdziałały, że odtąd car stał się jakby oficyalnym protektorem rzekomo w Polsce uciemiężonych dysunitów. Pomagał w tem carom też i Rodakowski, później jego i Czetwertyńskiego następcy.

Taktyka rosyjska polegała na tem, że car ustawicznie zanosił do Papieża wynajdywane przez tych ludzi lub przez swoich popów wymyślone skargi na Polskę, i starając się w Rzymie zręcznie wzbudzić mniemanie, że gotów jest przystąpić do Unii, zyskiwał dla siebie przeciw Polakom poparcie Papieża. Czy intrygi te były tak zręczne, czy społeczeństwo polskie tak zaślepione, dość, że w Polsce zupełnie nie rozumiano grożącego niebezpieczeństwa. W roku 1744 senat uchwalił dla zbadania spraw schyzmatyckich wybrać komisyę złożoną z trzech biskupów łacińskich, kilku senatorów i... posła rosyjskiego. Przed tą komisyą jako oskarżeni stanąć mieli uniccy biskupi. Tylko wielkim zabiegom biskupa Józefa Sapiehy i metropolity Hrebenickiego, a w części także dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności udało się zapobiedz temu, by wybór tej komisyi doszedł do skutku. Benedykt XIV i Klemens XIII, którzy dobrze pojmowali grozę chwili, wzywali rząd polski, jednak bezskutecznie, by z granic kraju usunął władykę mohylewskiego. W latach sześćdziesiątych ośmnastego stulecia zjawia się na widowni dziejowej najzagorzalszy i najszkodliwszy wróg katolicyzmu biskup mohylewski, Jerzy Koniski, renegat Kościoła i Ojczyzny. Jeszcze za cara Piotra II między Petersburgiem a Berlinem porozumiano się i postanowiono, by ze względów politycznych, a trochę także i z powodu nienawiści do katolicyzmu wymusić w Polsce równouprawnienie innowierców. Katarzyna i Fryderyk wyzyskując wewnętrzny stan Polski, na dobre w niej gospodarowali. Później w roku 1764 Koniski wysłany przez Katarzynę do Warszawy przedstawił królowi rzekome skargi dysunitów i zażądał dla nich 200 cerkwi i monasterów. Król oprzeć się nie był zdolny. W trzy lata potem Sejm pod naciskiem Rosyi pozwolił na utworzenie t. zw. *iudicium mixtum*, złożonego z równej liczby katolików i innowierców z biskupem mohylewskim na czele. Sąd ten miał rozstrzygać w sporach o posiadanie cerkwi. Protesty wybitnych obywateli, jawne gwałty ambasadora rosyjskiego ratowały może honor narodowy, ale istota rzeczy pozostała. Nadszedł okres rozbiorów. Teraz dopiero schyzma podniosła głowę. Propaganda jej w Polsce doszła zenitu; żadnym nie gardziła ona środkiem. Władyka Sadkowski, następca Koniskiego, starał się prześcignąć swego poprzednika. On to stał się winien rzezi humańskiej. Parafiami unickiemi bezprawnie zawładnęli popi z nad Dniepru. Protest nuncyusza papieskiego i senatu polskiego nieco tylko złagodził sytuacyę. W latach od roku 1783—1787 z 94 liczba cerkwi dysunickich wzrosła w ziemiach polskich na trzysta.

Zakończenie odczytu x. Sapiehy przytaczamy mniej więcej dosłownie.

Ze smutkiem musimy przyznać, że Polska, idąc w tak groźne czasy, jak samych rozbiorów, a potem prawdziwego męczeństwa, nie miała tej siły i podpory, którąby ją ratować mogła. Dawnych dziejów bohaterskie porywy tylko jako wspomnienie zostały w narodzie. Tlejące jeszcze gdzieniegdzie żywiej wiary ognie pod wpływem ucisku do bohaterstwa i ofiary doprowadziły, ale były zbyt ograniczone i sporadyczne, by zaważyć na doli całego narodu. Upadł naród politycznie, rzucono się na jego byt narodowy, rzucono się równocześnie może zaciekłej na jego wiarę. Trzyma te dwa skarby jeszcze wysoko, bo mu ich wydrzeć nie zdołano, a o ile pozostanie im wiernym, to stanowić będzie o jego dalszym losie. Bolesnych trzeba było dotknąć się ran, a jednak miłość Kościoła i Ojczyzny nakazywała gwałt sobie zadać i prawdę mówić, choćby ona przykrą i bolesną była... Polska upadła, ponieważ przestała być katolicką szczerze i w całej pełni tego wyrazu. Zewnętrznie wygląd kraju był katolicki. Ale co się pod tą pokrywką działo? Kilka rysów usposobienia, mianowicie klas decydujących, czyż nie wystarcza, by poznać stan, jaki panował? Wszak to duchowieństwo z naszego wychodziło społeczeństwa i ono tych właśnie wybierało sobie przodowników. Pod wpływem intryg, tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, bo głównie Rosya swoich ludzi na stanowiska tak świeckie, jak duchowne wynosiła, miał kraj episkopat, w którym, wedle relacyi nuncyuszów zaledwie 6 na 17 biskupów na to miano zasługiwało. Przy takim stanie jakże się dziwić, że ta siła, którąbyśmy chętnie widzieli u czoła nad odrodzeniem narodu — zupełnie zawiodła. Malując w czarnych barwach obraz stosunków w rzeczypospolitej, nie myślimy go robić jeszcze czarniejszym, niż był w istocie, nie chcemy twierdzić, że Polska upadła tylko dzięki własnemu rozkładowi... Nam chodzi nie o rzucenie winy na tych lub tamtych, ale by nie przypisywano katolicyzmowi winy, której mu fakty przypisać absolutnie nie mogą. Miłość Ojczyzny nakazywała nagą prawdę przedsta-

wić. Właśnie dla wymienionej przyczyny naród i dziś potrzebuje tej dźwigni, tej mocy i potrzebuje może więcej niż wtedy. Gdyby fałszywe utworzył sobie mniemanie, łatwo może być w błąd wprowadzony. Przytem rzeczy się zmieniły, ale wiele mają podobieństwa i dziś do dawnych. Niech więc będzie *historia magistra vitae*, niech nas uczy wszystkich, co dla nas niebezpieczne, co zgubne, a co zbawiennem być może.

Z Węgier.

Budapeszt 15 grudnia. Śledztwo w sprawie onegdajszych zajść w izbie stwierdziło między innymi następujące fakty: Dep. Lengyel wypoliczkował kilku służących i groził im wydobytym z kieszeni nożem. Dep. Hock wypoliczkował pewnego służącego, rzucał na ziemię papiery i druki i deptał je. Dep. Hollo pobił kilku służących listwą, wyłamaną z trybuny prezydyalnej. Baron Dezydery Banffy rzucił kilka foteli z trybun na ławki prawicy. Papp wypoliczkował kilku służących, wołając przytem: Ja ci wpakuję kulę w łeb, tobie, Tiszy i Perczelowi. Protokół śledztwa odesłany będzie do prokuratoryi państwa.

Budapeszt 15 grudnia. Dziś znów wyruszą członkowie opozycyi wspólnie o godz. 9tej rano do parlamentu.

Wczoraj na poufnem posiedzeniu opozycya obradowała nad dalszą taktyką. Tryumfuje ona z tego powodu, że Perczel wczoraj nie przewodniczył, ze strony liberalnej atoli zapewniają, że nie było to ustępstwem dla opozycyi, lecz, że Perczel istotnie zachorował na influencę. Opozycya zamyśla rozpocząć dziś ostrą kampanię przeciw prowizoryum, gdyż nie chce, aby rozwiązano izbę i rozpisano nowe wybory w stanie ex lex, a po uchwaleniu prowizoryum toby nastąpiło. Jedynie też dla uchwalenia prowizoryum przeforsował Tisza w izbie tymczasową zmianę regulaminu, ponieważ po przyjęciu przez izbę prowizoryum budżetowego miałby rozwiązane ręce. Hr. Juliusz Andrassy czyni wszelkie usiłowania, aby między opozycyą a stronnictwem liberalnem doprowadzić do kompromisu,

* * *

Pewien naoczny świadek onegdajszych awantur w Sejmie węgierskim tak opisuje te zajścia w liście z Budapesztu:

„W mieście panuje wielkie wzburzenie, gdyż zajścia, które rozegrały się dziś w sejmie, poruszyły wszystkich. Nadzwyczajne dodatki pism z opisem awantur w sejmie rozchodzą się tysiącami, wszyscy je sobie wyrywają z rąk, a po kawiarniach, restauracyach, klubach i kasynach nie mówi się o niczem, tylko o dzisiejszych zajściach, a stwierdzić muszę, iż fakt, że posłowie opozycyjni wszedłszy do sali, zastali tam straż parlamentarną, ustawioną wzdłuż wejść i na trybunie prezydenta, oburzył nawet tych, którzy byli przeciwnikami opozycyi. Powiadają oni, że Tisza przez umieszczenie straży w sali obrad i na trybunie prezydenta znieważył sejm i posłów, że było to niczem innem, jak tylko pod pokrywką straży parlamentarnej wprowadzeniem policyi do sejmu i że wskutek tego było zrozumiałem wielkie oburzenie posłów opozycyjnych, którzy dali się porwać do czynów, nielicujących z powagą posła. Jeśli już hr. Tisza, podnoszą, chciał użyć straży parlamentarnej, to powinien był jej polecić, aby stała w pogotowiu w jednej z sal gmachu sejmowego i wezwać ją do sali obrad tylko w razie potrzeby, tak, jak to ma miejsce w parlamencie angielskim i francuskim.

Przez zagalopowanie się swe hr. Tisza stracił bardzo wielu zwolenników, tak, że powiedzieć można, że wskutek jego nietaktu ze strażą dziś większość mieszkańców stolicy stoi po stronie opozycyi.

Od wczesnego już rana na ulicach miasta panował dziś ruch bardzo ożywiony, gdyż spodziewano się, że w sejmie przyjdzie do burzliwych scen. Ulice, prowadzące do gmachu sejmowego, obsadzone były przez policyę, która przepuszczała publiczność tylko pojedyńczo. Mimo to przed sejmem zgromadziła się spora grupa ludzi. Rozpraszana przez policyę co chwilę, znów się zbierała.

O godzinie 9tej rano posłowie opozycyjni ruszyli gremialnie z klubu Banffy'ego do sejmu. Na czele ich kroczyli hr. Apponyi, Stefan Rakowszky, Koloman Thaly i hr. Eugeniusz Zichy. Kossuth, ciągle jeszcze niezdrów, jechał z tyłu w powozie. Orszak ten, otoczony tłumem ciekawych, którzy ciągle wznosili okrzyki przeciw rządowi, przybył na plac przed gmachem sejmowym, silnie obsadzony przez policyę. Gdy posłowie stanęli przed bramą sejmu, pełniący tam służbę inspektor policyi Rogalia nie chciał ich wpuścić wszystkich od razu, lecz żądał, aby posłowie wchodzili każdy osobno. To dało powód do pierwszego starcia.

Poseł Justh, oburzony żądaniem Rogalii, przystąpił do niego i uderzył go w twarz, poczem rzucili się na niego i inni posłowie i wepchnęli go do garderoby, gdzie go obito laskami i pięściami, a w końcu wyrzucono na ulicę. Tłum, czekający przed bramą, powitał wyrzuconego na ulicę inspektora policyi, ironicznymi okrzykami. Po tej przygrywce udali się posłowie do kuloarów. Tu p. Polonyi, ujrzawszy ustawioną przy wejściu straż parlamentarną, zawołał: „Przecież tych chłystków tu cierpieć nie będziemy". To dało hasło do burzliwych scen, które się potem rozegrały także w sali obrad. Polonyi, Hollo, Rakosi, Poszgay, Lengyel i inni zwrócili się do stojących strażaków, którzy bladzi i drżący w milczeniu przyjmowali miotane obelgi i wołania: „Nie wstydzicie się jako Węgrzy najmować się przeciw Węgrom. Oddalcie się, a my was nagrodzimy za stratę waszej płacy",

Następnie posłowie przemocą usunęli strażaków z przed drzwi i wśród ogłuszających krzyków wtargnęli do sali. Strażników, którzy stali po obu stronach trybuny prezydenta, obsypano znów obelgami. Poseł Hock namawiał ich, aby dobrowolnie wyszli z sali. Strażnicy atoli nie ruszyli się z miejsca, stali jak wmurowani. Wówczas rzucili się na nich posłowie w pierwszym rzędzie Papp, Kaas, Lengyel, Bakonyi, Poszgay i rozpoczęła się bójka, która się skończyła tem, że strażników obitych, pokrwawionych, z poszarpanem odzieniem, wyparto ze sali.

Wówczas p. Nessi dał znak do zdemolowania trybuny prezydenta. Kilku posłów porwało fotel prezydenta gabinetu, inni poczęli demolować trybunę prezydenta Izby. Fotele ministeryalne, prezydenta Izby i sekretarzy łamano i kładziono w stos na środku Izby. Pulty ministrów, przyśrubowane do podłogi, wyrywano wraz z kawałkami podłogi. Zerwano także galeryę, otaczającą trybunę prezydenta Izby.

Komisarz sali dał rozkaz 30 strażnikom, aby udali się do sali i ustawili się przy trybunie prezydenta Izby i nie dopuścili do niej żadnego z posłów. Wypełniając rozkaz, strażnicy weszli do sali i maszerować poczęli ku trybunie, ale posłowie rzucili się na nich, poczęli ich łżyć i wypychać ku wyjściu. Rzucano na nich foliałami i szczątkami połamanych pultów. Strażnicy bronili się tylko, ale nie atakowali. Zawrzała zacięta walka, głównie w dwóch punktach: na estradzie i w środku sali. Komendant straży Farkas zachęcał strażników do wytrwania, gdy wtem ugodzony w głowę oderwaną od fotelu nogą, krwią zalany padł omdlały na ziemię. Rzucono się mu na ratunek, przyprowadzono do przytomności, a jeden z posłów wyprowadził go z sali. Gdy strażnicy zobaczyli, iż Farkasa wyprowadzono, rzucili się w nieładzie ku wyjściu i uciekli z sali. Wielu strażników jest dość ciężko rannych. Na słupie marmurowym obok trybuny prezydenta Izby widać ślady krwi.

U stóp trybuny stał przez cały czas tych zajść jeden jedyny poseł z partyi liberalnej, Aleksander Nagy. Obstrukcyoniści obrzucali go obelgami, na które odpowiadał, nie żałując głosu. Z pomiędzy innych głosów wybił się na wierzch wysoki organ hr. Aladara Zichyego, który dodał do obelg, rzucanych poprzednio, jeszcze kilka inwektyw. Nagy odpowiadał na to krótko, wołając pod adresem Zichyego: „Osioł!"

— Ja tego człowieka zupełnie nie znam! — zawołał hr. Zichy.

— Ale ja cię znam! —odpowiedział Nagy— i właśnie dlatego mówię, żeś osioł!

Opozycya utrzymała się więc na stanowisku. Hałas trwał jednak ciągle dalej. Poseł Rakosi przyniósł gwizdawkę i nie wyjmując jej prawie z ust, ciągle gwizdał. Poseł Lesgay podniósł z ziemi dzwonek prezydenta i ciągle nim dzwonił. Hr. Aladar Zichy zapalił papierosa, a za jego przykładem poszli inni posłowie.

Wśród największego hałasu wszedł do sali hr. Tisza, w towarzystwie ministra honwedów Nyiriego, a ujrzawszy, co się w niej dzieje, załamał ręce. Powitano go krzykiem, świstem i uderzaniem desek o pulty. Tisza podszedł do pierwszego rzędu ławek i oparłszy się o ławkę, z rękami w kieszeniach, przypatrywał się scenom, rozgrywającym się w sali. P. Lengyel zawołał do niego: „No, panie hrabio, jak pan widzisz, pański system znakomicie się udał!"

Na trybunie prezydenta stało około 40 posłów. Poseł Zboray, który zajął miejsce prezydenta, naśladując zachowanie się prezydenta Perczela na posiedzeniu z dnia 18-go listopada, wydobył chustkę i wśród okrzyków innych posłów, powiewał nią, a poseł Hollo, powtarzając wypowiedziane wówczas przez Perczela słowa, wołał: „Komedya już się skończyła, głosujmy!" Przed Tiszą stanęli hr. Juliusz i Teodor Andrassy'owie, aby go ochronić przed ewentualnym napadem. Do tego atoli nie przyszło. Wogóle opozycyoniści nie atakowali czynnie posłów liberalnych, którzy za Tiszą weszli do sali, lecz tylko obsypywali ich obelgami.

P. Nessi udał się do trybuny dziennikarskiej i wręczając dziennikarzom kawałki z połamanych mebli, wołał: „Macie tu szczątki węgierskiego parlamentaryzmu!"

P. Rakovszky czyniąc aluzyę do ostatniej mowy hr. Tiszy, zawołał do niego: Wszystko to, co się tu stało, jest tylko „drobnem naruszeniem formy!"

Po 10 minutach hr. Tisza, żegnany znów okrzykami i obelgami, opuścił salę. Za nim wyszli posłowie liberalni.

Posłowie opozycyjni pozostali w sali do godziny 2-giej i dopiero, gdy się przekonali, że dziś już posiedzenie się nie odbędzie, opuścili salę.

Inspektor Rogalia wniósł przeciw posłom doniesienie karne.

Wypadki w Rosyi.

Petersburg 15 grudnia. (Ros. Ajencya tel.). Z Moskwy donoszą, że onegdaj wieczorem na posiedzeniu tamtejszej rady miejskiej zanim przystąpiono do porządku dziennego t. j. do budżetu na rok 1905, odczytano podpisany przez 65 radnych ściśle sformułowany i umotywowany wniosek o zawiadomienie rządu, iż rada miasta Moskwy uważa za niezbędne:

1) zaprowadzenie legalnej ochrony wobec samowoli urzędników, 2) zniesienie wszelkich ustaw wyjątkowych, 3) przyznanie wolności sumienia, wyznań, prasy i zgromadzeń. 4) zaprowadzenie tych ustaw zasadniczych przy współdziałaniu reprezentantów ludu pochodzących ze swobodnego wyboru, 5) zaprowadzenie publicznej kontroli nad administracyą państwa. Wnioski te rada miejska przyjęła jednogłośnie.

Kijów 15 grudnia. Rada profesorów kijowskiej politechniki otrzymała oficyalne wezwanie od ministerstwa, ażeby zdała sprawę z zajść z dnia 25 listopada celem ukarania winnych naruszenia porządku. Rada profesorów zebrała się dnia 7 b. m. celem wygotowania odpowiedzi, którą też miano już wysłać do ministerstwa finansów, gdyż politechnika podlega temu ministerstwu. Główny ustęp tej odpowiedzi oświadcza, że rozruchy studenckie są naturalnym wynikiem ogólnej sytuacyi wewnętrznej w państwie, która nie gwarantuje ogólnych praw obywatelskich jednostki. Wobec tego członkowie kolegium uważają za swój obywatelski obowiązek względem kraju podkreślić w obecnej przełomowej dla Rosyi chwili niezbędność gruntownej reformy państwa, mieszczącej w sobie między innymi i reformę praw akademickich. Szczególnie niezbędnem jest danie każdej jednostce swobody społecznej, polegającej na zrównaniu politycznych praw obywatelskich. Dlatego też profesorowie kolegium przyłączają się w tym względzie do uchwał zjazdu ziemców i proszą o zakomunikowanie swej odpowiedzi ministrowi spraw wewnętrznych.

Petersburg 15 grudnia. Rozpisano składkę publiczną dla ufundowania stypendyum im. kapitana Cladeaux, oraz celem ofiarowania mu honorowej szpady. Do składki tej przyczyniła się także żona admirała floty baltyckiej Rożestwieńskiego. Prócz tego pani ta umieściła w *Now. Wrem.* gorące podziękowanie kapitanowi Cladeaux za artykuły jego, które otwarcie prawdę wyznają.

* * *

Pisma berlińskie wczoraj znowu zamieściły szereg sensacyjnych doniesień o ruchu politycznym w Rosyi.

I tak *Local Anzeiger* donosi, że w Petersburgu podczas balu studentów instytutu technologicznego odbyła się demonstracya, w której wzięło udział przeszło 10.000 osób. Na balu zjawiło się wielu dziennikarzy i adwokatów i liczni robotnicy. Zamiast tańców odbyły się obrady, na których omawiano sprawę zaprowadzenia konstytucyi, ochronę osobistej wolności i zaprowadzenia reform administracyjnych. Uchwalono rezolucyę, która brzmi tak samo, jak rezolucya uchwalona przez zjazd ziemstw. Postanowiono zaprzestać tańców i nadać demonstracyi charakter poważny. Po uchwaleniu tej rezolucyi zakryto portret cara Mikołaja, znajdujący się w sali, czerwoną flagą, na której był napis: „Precz z absolutyzmem!" Obrady i przemówienia trwały do godziny 6 rano. Policya nie przeszkadzała temu zebraniu, zapowiedziała jednak, że na wypadek, gdyby demonstranci gromadnie wyszli na ulicę, użyje kozaków. Z tego powodu demonstranci opuścili salę drobnemi grupami.

Berliner Tageblatt donosi, że w Odesie w tych dniach tajna policya wykryła zgromadzenie spiskowców politycznych w pewnym domu przy ulicy Bułgarskiej. Policya otoczyła dom i chciała zaaresztować spiskowców, lecz ci zabarykadowali się w mieszkaniu i bronili się z niesłychaną odwagą. Podczas walki jedna ze studentek zastrzeliła urzędnika policyjnego. Wreszcie po ciężkiej walce aresztowano wszystkich uczestników zgromadzenia.

Ten sam dziennik berliński ogłosił świeżo artykuł p. t. „Długie ręce", w którym pisze o wielkich kradzieżach i oszustwach w intendanturze wojskowej w Rosyi. Tak np. pewien fabrykant sukna w Łodzi miał otrzymać zamówienie na dostawę sukna dla wojska pod warunkiem, że opłaci się dwom wysokim czynownikom sumą pół miliona rubli, a pośrednikowi da 50.000 rubli. Fabrykant odmówił, bo niepodobna mu było w tych warunkach dostarczyć sukna, choćby nawet lichego.

Zapały gasnące.

O ile wierzyć można panu J. C. Balet, korespondentowi paryskiego *Journalu*, to ostygł już nieco ten hałaśliwy entuzyazm bojowy, który jeszcze przed kilku miesiącami płonął jasnym płomieniem w krainie mikada. Pisze on tak p. t. „Partants et revenants" w liście wysłanym z Jokohamy:

„Skończyła się bitwa pod Laojanem. Jeszcze brzmią głuche echa fanfar, fajerwerków i okrzyków „Banzai!" — a jednak jakaś ponura cisza i pustka już się uczuć daje w Japonii. W milczeniu i niemal potajemnie pędzą napchane żołnierzami pociągi z północy na zachód, do portów, które są ostatnią stacyą wyjeżdżających na wojnę, a pierwszą powracających. Od dziewięciu miesięcy dekrety mobilizacyjne pukają do wszystkich drzwi, nawet do tych, które powinny zostać zamknięte. Po armii czynnej pierwsza rezerwa, po pierwszej druga. A razem z tą drugą powołano także tych, których od służby wojskowej uwolniono, młodych studentów oraz inwalidów, którzy jeszcze jako tako zdolni są do boju. Po sumarycznem wyćwiczeniu, trwającem co najwyżej trzy miesiące, muszą oni w armii pełnić obowiązki dozorców szpitalnych i woźniców. Wszyscy ci, którzy w czasach pokojowych prześlizgnęli się przez duże oka w sieci systemu rekrutacyjnego, otrzymali teraz rozkaz wstąpienia w szeregi. Miałem kucharza, liczącego 24 lat, który rzeczywiście w służbie kulinarnej był wyśmienity. Cieszyłem się, że długo jeszcze z usług jego korzystać będę, bo cierpiał on na chorobę beri beri (po japońsku: kak-ke) w tym stopniu, że okulał mocno. Wczoraj powołano go do wojska telegraficznie. Jako zastępcę pozostawił mi ojca starego, ale kto wie, czy i tego nie powołają.

Łatwo sobie tedy wyobrazić, jak olbrzymie ofiary ponosi Japonia, — ofiary, które chętnie chciałaby zataić przed Europą. Jeżeli zważymy, że armia czynna, z której 12 dywizyi już wyruszyło na wojnę, składa się co najmniej ze 180.000 żołnierzy, że dwie już powołane, ale jeszcze w całości nie wysłane rezerwy reprezentują również siłę 180.000 ludzi, że wojsko pomocnicze i zmobilizowana już pierwsza część pospolitego ruszenia dostarczyły 50.000 rekrutów, to jasnem jest, że Japonia posiada już w chwili obecnej więcej, niż 400.000 żołnierzy na stopie wojennej.

Ale nie chciałem, co prawda, mówić o liczbie żołnierzy, których Japonia wysłała na plac boju, lecz o ich moralnej i fizycznej fizyognomii. Im bardziej przedłużała się mobilizacya i wojna, tem słabszym był entuzyazm zewnętrzny. Rezerwista i członek pospolitego ruszenia są ludźmi spokojniejszymi, niż żołnierze armii czynnej. Zdawaćby się nawet mogło chwilami, że cała ta wojna sprawia im tylko przykrość W rzeczywistości jednak tak nie jest. Są to ludzie, którzy ochoczo spełniają swój obowiązek. Skoro tylko rekrut otrzymał rozkaz, powołujący go do służby wojskowej, nie waha się ani jednej chwili. Do koszyka z wiciny wierzbowej kładzie mu matka i siostry kilka ręczników, trochę bielizny i zapasowe ubranie, do którego ręka kochająca wszyła amulet. Nic więcej. Sąsiedzi lub krewni przynoszą ciastka i „sake", ale przysmaki te spożywa się na miejscu przed wyjazdem. Cała wieś jest na nogach. Wszyscy życzą żołnierzowi szczęśliwej drogi, rzadziej szczęśliwego powrotu.

Przed drzwiami ukazuje się kapela wiejska, składająca się zawsze z wielkiego bębna, kilku tanich, jarmarcznych piszczałek i harmoniki. Muzycy rekrutują się ze starszych chłopaków szkolnych lub kilku darmozjadów, którzy każą sobie płacić za swoje granie z funduszów, zebranych na cele wojenne. Ich kostyum, zaprowadzony dopiero w roku bieżącym, składa się z białych spodni, białego paska i białej czapki, a wszystko to ozdobione jest czerwonemi, zielonemi lub czarnemi wstążkami. Surduta zazwyczaj wcale nie noszą. Przodem idzie chorąży, za nim postępuje muzyka, rekrut i jego rodzina zamykają pochód. O! jakież okropne melodye wygrywają te wiejskie kapele. Napróżno szukałem w swoich wspomnieniach coś podobnego, aby moim czytelnikom dać właściwe wyobrażenie o muzyce japońskiej. Nie znam nic, co choćby tylko w przybliżeniu było takie... indyańskie. Zdaje mi się, że chyba nawet muzyka kafrów brzmi, w porównaniu z temi kakofoniami, jak muzyka sfer.

A ogłuszający ten hałas nie milknie ani we dnie, ani w nocy. Jeżeli nie ma rekruta wyjeżdżającego na wojnę, to znajdzie się zawsze jakiś miejscowy bohater, którego właśnie chowają. A gdy i tego zabraknie, to kapela mimo to włóczy się po ulicach, wygrywając jakieś melodye, mające ilustrować muzycznie tak gorąco przez Japończyków upragnione zajęcie Portu Artura. Lecz wszystko znudzi się w końcu, nawet japońska muzyka. Lud przestał się już interesować pochodami uroczystemi i coraz częściej zalega dworzec cisza grobowa, gdy rekrut wyjeżdża na wojnę. Dopiero, gdy pociąg już rusza, odezwie się tu i owdzie jakieś nieśmiałe „Banzai!"

Inaczej działo się w pierwszych czasach mobilizacyi. Wonczas widziałem, jak gęste tłumy cisnęły się na dworcach i wzdłuż plantu kolejowego. Chorągwie i chustki powiewały w powietrzu, a ludziska chrypli od wrzasku. To wszystko ustało obecnie. Tylko w miastach zachodu przetrwał jeszcze ten dawny entuzyazm. Gdy pociąg żołnierski przejeżdża przez Kobe, Okajamę, Hiroszimę, rozlegają się jeszcze burzliwe wiwaty i od czasu do czasu ktoś wystrzeli gwoli uciechy. Żołnierze pokazują się wtedy w oknach. Bardzo wielu z nich nosi okulary; niektórzy śpią w wagonach końskich na sianie, przeznaczonem dla koni. Podnoszą się leniwie, kiwają obojętnie głowami i wywierają takie wrażenie, jakby chcieli powiedzieć: Czy to długo jeszcze potrwa?

Wśród odjeżdżających zawsze znajdzie się kilku, którzy pragną potomnym pozostawić jakieś historyczne aforyzmy. Japończyk ma skłonność do aktorstwa i wyobraża sobie, że cały świat patrzy na niego. Jenerał Nogi, dowódca armii oblężniczej pod Portem Artura, miał do żony swojej powiedzieć: „Jeżeli nie wrócę, spalisz mój dom i wszystko, co posiadamy, oddasz cesarzowi". Jakiś prosty chłop wyraził się jeszcze heroiczniej: „Od chwili, w której wyjadę na wojnę — mówił do żony — umarłem dla ciebie. Weźmiemy zatem przedtem rozwód, abym nie potrzebował myśleć o tych, którzy w domu zostali, i abyś ty nie potrzebowała opłakiwać męża".

„O, tylko bez łez. Łzy to hańba! Łzy pozostawmy Europejczykom" — mówił inny. I lud jest posłuszny. Gdy Japończyk idzie na wojnę, czczą go; gdy wraca na noszach lub w trumnie, nikt nad nim łzy nie uroni.

Jako przyczynek do psychologii japońskiej, niechaj posłuży także następujący urywek z korespondencyi londyńskiej *Daily Mail*. Mowa tam o wściekłych a dotychczas bezowocnych szturmach na ufortyfikowane góry i skały Portu Artura.

„Jest w tych bitwach okropnych coś mistycznego — mówi korespondent — bo Japończycy idą na śmierć niemal pewną w głębokiem milczeniu. Patrzy się na walki najkrwawsze i nie słychać ani jednego okrzyku. Wśród nocy księżycowej widziałem szturm jakby masy upiorów, a w masie tej armaty rosyjskie wyrywały formalne ulice. Ale te luki zamykają się jak ze dotknięciem różdżki czarodziejskiej i dalej, i dalej szedł okropny marsz upiorowy. Japończycy zbliżali się coraz więcej do fortu rosyjskiego. Miny pękały, ziemia się otwierała, trupy wylatywały w powietrze i znów padały na ziemię. A oni szli i szli. Zdawaćby się mogło, że nic ich nie wstrzyma. Ci ludzie nie chcą poprostu zrozumieć, że dopóki Rosyanom starczy amunicyi, to niektóre forty są wprost nie do zdobycia atakiem frontowym. Po trupach tysięcy idą nowe tysiące i znowu padają. Wydaje się, że można ich zabić, ale powstrzymać ich prawie niepodobna.

Całe to bohaterstwo jednak jest dotychczas bezowocne wobec olbrzymiej fortecy i zdumiewającej energii jej obrońców. I dopiero wtedy, gdy już zabraknie pokarmu i amunicyi, gdy trupy niepogrzebane tak zapowietrzą wszystko, że oddychać będzie niepodobna, gdy od trudów straszliwych ręce obwisną, nerwy oszaleją, dopiero wtedy wybije ostatnia godzina dla tej granitowej twierdzy, wobec której nawet japońska pogarda śmierci jest bezsilna".

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg 15 grudnia. (Oficyalne). Jenporucznik Sacharow telegrajuje do sztabu jeneralnego, że w ciągu pnia 13 i 14 bm. nie otrzymał żadnych wiadomości o starciach na froncie. W obecnej chwili mrozy są bardzo silne i dają się uczuć dotkliwie szczególnie w nocy.

Paryż 15 grudnia. Do Ajencyi Havasa donoszą z Irkucka: Jezioro Bajkalskie jest jeszcze zupełnie wolne od lodów. Na kolei bajkalskiej odbywa się tylko ruch towarowych pociągów. Panują wielkie mrozy. Liczne nowe wojska dążą na południe. Przez Irkuck przewieziono do Władywostoku części składowe całego torpedowca.

Paryż 15 grudnia. Do *Echo de Paris* donoszą z Petersburga, że do komendanta cesarskiej głównej kwatery jenerała Hessego nadeszły dwa listy rzekomo do rosyjskiego tajnego ajenta w Londynie, któremu udało się zakraść do japońskiej ambasady. Z jednego z tych listów wynika, że francuski i niemiecki attachés wojskowi, którzy z końcem sierpnia wyjechali z Portu Artura na dżunce, zostali przez Japończyków zabici. List drugi twierdzi, że cztery japońskie torpedowce po części z załogą angielską miały się znajdować obok angielskiej flotylli rybackiej podczas zajścia hullskiego, przyczem dwa japońskie torpedowce rzekomo zostały zniszczone.

Londyn 15 grudnia. Ambasador japoński w Londynie bar. Hajaszi zaprzecza doniesieniu dziennika *Echo de Paris* i nazywa je z palca wyssanem.

* * *

Paryskie wydanie *New York Heralda* ogłasza wiadomość sensacyjną. Oto w Petersburgu postanowiono, aby flota baltycka pod wodzą admirała Rożestwieńskiego przerwała swą podróż na teren wojny i wróciła do Rosyi. Jest to widocznie następstwo artykułów kapitana Cladeaux, który wykazał, że flota ta w obecnym składzie nie może mierzyć się z flotą japońską, powtóre na postanowienie to wpłynęły widocznie wiadomości o zupełnem zniszczeniu resztek eskadry portarturskiej. Port Artura pozostawiony więc będzie bez odsieczy. Stoessel będzie jednak walczył, póki mu jeszcze jeden żołnierz zostanie. Gdy będą wzięte forty zachodnie, cofnie się do Laotiszanu i tam dalej będzie stawiał opór. Matka jenerała Focka, który walczy w Porcie Artura, powiedziała, że syna swego uważa już za nieboszczyka, gdyż on nigdy nie zgodzi się na kapitulacyę.

* *

Polacy w armii mandżurskiej.

Do *Słowa* warszawskiego donoszą z Charbinu:

W charbińskim hotelu „Orient" w Nowem Mieście, mieszka już od kilku tygodni Alfred hr. Wielopolski. Miesięczna kuracya poprzednia w warszawsko-łódzkim oddziale sanitarnym pomogła mu już była na razie, lecz gdy chciał wyjeżdżać z powrotem na plac boju, bóle w nodze nagle pogorszyły się i musiał pozostać w Charbinie. Mieszkając w hotelu, leczy się prywatnie elektrycznością. Cierpi na reumatyzm w kolanie.

Alfred hr. Wielopolski przybył na wojnę w randze podesauła w kwietniu. A przybył wprost z Abissynii, gdzie sprawował obowiązki „attaché" wojskowego przy poselstwie rosyjskiem. W państwie cesarza Menelika spędził przeszło półtora roku. Na wojnie należał do oddziału rekonesansowego, operującego przy boku generała Kuropatkina. W ostatnich czasach został mianowany naczelnikiem oddzielnej seciny kozackiej eklererów. W jego secinie młodszym oficerem jest chorąży Mikołaj ks. Radziwiłł (syn ks. Wilhelma), który niedawno, jak wiadomo, przedarł się do oblężonego Portu Artura. Secina hrabiego Wielopolskiego ma wyłącznie pełnić służbę przy głównym wodzu armii. Kiedy mianowicie hr. Wielopolski wyjedzie na pozycye bojowe, dotychczas niewiadomo.

Trzeci żołnierz Polak, Alfred hr. Tyszkiewicz, syn ś. p. Jana i Klementyny z Potockich, ordynat na Birżach, bierze udział w strasznej wojnie jako ochotnik-podoficer w artyleryi konnej. Dorodnego tego młodzieńca spotkałem w Charbinie przed kilku tygodniami. Tryska z niego zdrowie, zapał i humor. Przybywszy na teren wojenny w roli jednego z pełnomocników wileńskiego Czerwonego Krzyża, nagle przerzucił się do szeregów i jako prosty żołnierz odbył bitwę laojańską. Zdobył w niej order św. Jerzego i stopień podoficera. Kilka tygodni wypoczywał w Charbinie. I oto znowu wrócił na placówkę, do śmiercionośnej bateryi, aby wziąć udział w bitwach pod Szaho i Jantajem. Ogromna odwaga i zimna krew zwracają tutaj na tego młodego żołnierza-ochotnika ogólną uwagę.

Stanisław ks. Radziwiłł, szwagier hr. Romana i Józefa Potockich, służył w kozackim pułku w armii generała Leniewicza, lecz przed kilku tygodniami opuścił Nikolsk-Ussuryjsk, gdzie poważnie zachorował. Wyjechał stąd do Berlina, aby się poddać operacyi u prof. Behringa.

Ogłoszony dzisiaj w „Charbińskim Wiestniku" rozkaz namiestnika Dalekiego Wschodu przynosi wiadomość, iż: „pełen energii pełnomocnik warszawsko-łódzkiego oddziału sanitarnego, Ksawery hr. Orłowski otrzymał order św. Anny II-iej klasy, zaś Adam hr. Zamoyski — order św. Stanisława II-ej klasy. Jak już wiadomo, hr. Zamoyski, pełniący urząd mistrza ceremonii najwyższego dworu, bawił w Mandżuryi w specyalnej misyi rozdawania żołnierzom podarunków od jej cesarskiej mości najjaśniejszej pani Aleksandry Teodorówny."

Na wypoczynek po ciężkich trudach wojennych przybył do szpitala warszawsko-łódzkiego oddziału sanitarnego xiądz Mikszic. X. kapelan ostatniemi czasy przebywał w Tielinie, gdzie ma również stałą siedzibę X. Wyrzykowski.

Mały feljeton.

I.

Po szarych polach smutek błądzi blady —
Na puste pola wieje,
Mgłą spowite już zimowe sady,
Ból, łzy, tęsknotę sieje.

Z zmarzłych moczarów żal powstaje głuchy,
Ból, łzy, tęsknotę sieje —
Długich całunów śnieżne skrzą się puchy —
W ciemną zimową zawieję.

II.

Raz jeden na wiosnę zakwita
Pierwiosnek świeży, mały,
Swawolne dziecię nie pyta —
I rwie kwiatuszek biały.

Raz jeden w życiu zakwita
Miłości kwiat wspaniały —
Lecz płoche dziewczę nie czyta
W oczach prośby nieśmiałej.

Drobny kwiatuszek ginie
Nieczułą ręką zerwany —
Usycha, więdnie i minie
Miłości kwiat zapoznany.

H. Ł.

KRONIKA.

Lwów 15 grudnia.

O nowe starostwo w Galicyi. Onegdaj była u p. namiestnika deputacya złożona z dziesięciu wójtów z okolic miasteczka Ustrzyki dolne z notaryuszem tamtejszym p. Sieleckim na czele i przedstawiła hr. Potockiemu prośbę o utworzenie starostwa w Ustrzykach. P. namiestnik przyrzekł, że rzecz rozpatrzy i poprze ją ze swojej strony. Dotąd ustrzycki powiat sądowy należy do politycznego powiatu liskiego.

Sodalicya Maryańska akademicka urządza ku czci Adama Mickiewicza artystyczny wieczór w sobotę dnia 17 grudnia o godzinie 7 wieczorem w sali Sodalicyj Maryańskich (Jagiellońska 3). Łaskawy współudział przyrzekła panna Stanisława Makuszówna, oraz pp. prof. dr. Bronisław Gubrynowicz, Erwin Nanke, Mieczysław Rachlewicz i Stefan Zagórski. — Bilety w cenie 1 kor., 60 h. i 40 h. można nabywać w biurze Sodalicyj we czwartek i piątek między godz. 5 a 7 wieczorem i przy wejściu.

Za przekroczenie skarbowe wykryte w czerwcu b. r. w browarze w Lesienicach, należącym do Towarzystwa akcyjnego lwowskich browarów, skazał sąd wyższy w sprawach skarbowych we Lwowie: 1) Towarzystwo akcyjne lwowskich browarów, 2) Jana Borysiewicza, kierownika ruchu browaru w Lesienicach, 3) Rafała Repelowskiego, piwnicznego w browarze w Lesienicach, jako sprawców tego przekroczenia na grzywnę w łącznej kwocie 10.447 koron 76 gr., tudzież na zwrot wszelkich kosztów śledztwa.

Brzydka demonstracya. W artykule pod powyższym tytułem donieśliśmy przed paru dniami, że kilka stowarzyszeń o charakterze bezwyznaniowo-socyalistycznym, a między niemi „Czytelnia kobiet", zaprotestowały publicznie przeciw temu, że umieszczono je na liście pochodu, urządzonego w Krakowie ku czci Matki Boskiej, i nazwały ten fakt „bezprawnem nadużyciem ich firmy". Owóż

teraz grono pań, należących do krakowskiej „Czytelni kobiet“, podaje do publicznej wiadomości, że protest przeciw obchodowi ogłoszony był bez ich wiedzy, przeto one odpowiedzialności za ten wprost oburzający czyn na siebie brać nie mogą. Nadto donoszą, że po wyczytaniu tego protestu, wszystkie panie, należące do Czytelni, z wyjątkiem kilku inaczej myślących, bez poprzedniego umawiania się, bo na to już czasu nie było, wzięły udział w pochodzie Maryańskim, zaznaczając tem uczucia religijne kobiet Polek, należących do „Czytelni“.

Mianowania. Cesarz nadał radzcy sekcyjnemu w prezydyum rady ministrów, drowi Zdzisławowi Morawskiemu, tytuł i charakter radzcy ministeryalnego. — Cesarz zamianował dyrektora gimnazyum w Podgórzu Stanisława Bednarskiego dyrektorem gimnazyum św. Jacka w Krakowie, a profesora gimnazyum św. Anny w Krakowie Ignacego Kranza dyrektorem gimnazyum w Podgórzu.

Powszechne wykłady uniwersyteckie W piątek dnia 16-go b. m. Prof. dr. K. Twardowski: Główne prądy w filozofii wieku XIX. Sala XIV Uniwersytetu, św. Mikołaja 4, II piętro. Początek o godzinie $7^1/_2$.

Z Filharmonii lwowskiej. Popis znakomitego skrzypka Bronisława Hubermana wypadł wspaniale. Dwa koncerty, dane przez naszego artystę, zgromadziły tłumy publiczności, które entuzyastycznie słynnego artystę przyjęły. — Zapowiedziany koncert „króla skrzypków“ Willy Burmestra, który odbędzie się w sobotę 17 b. m., da sposobność licznym melomanom naszym porównania gry tych dwóch wielkich skrzypków.

Nie da się zaprzeczyć, że sława Burmestra, tak dobrze już znanego, a tak sympatycznie w naszem mieście zapisanego, jest dawniejsza. Artyzm Burmestra — według słów sprawozdawcy z Lipska (miasta decydującego o sile artystycznej koncertantów) — polega na przejęciu się zupełnem utworami, które wykonuje, na subtelnem oddaniu i cieniowaniu każdej myśli kompozytora, a nadto na głębokiem poczuciu artystycznej miary, którą wyposaża każdy odegrany utwór. Jego skrzypce, to „śpiewająca Loreley“. Burmester to jedyny dziś, wśród skrzypków, przedstawiciel klasycyzmu, jedyny bez współzawodników wykonawca Bacha. Pod względem techniki przypomina Paganiniego. Jest romantykiem i klasykiem zarazem. Znakomitemu skrzypkowi towarzyszy pianista W. Klasen.

Marnotrawstwo nie do pojęcia. Komisya budżetowa naszej Rady miejskiej obraduje obecnie nad budżetem gminy na rok 1905. Z cyfr budżetu przez nią już uchwalonych niektóre jaskrawe rzucają światło na to, jak nie już nieekonomicznie, lecz wprost marnotrawnie się u nas gospodaruje groszem miasta. Ot np. weźmy rubrykę XXV budżetu zawierającą cyfry kosztów oświetlenia miasta. W komunikacie znajdujemy takie cyfry: suma rubryki wynosi 141.760 koron, składa się ona z 93.420 koron wydatku na 450 całonocnych latarń gazowych a 1.500 północnych latarń gazowych i z 47.340 koron wydatku na 108 całonocnych latarń naftowych i 716 północnych latarń naftowych, zaś reszta okrągły tysiąc koron przypada na pięć łukowych lamp elektrycznych przed teatrem miejskim.

Na podstawie tych cyfr łatwo jest zrobić następujące proste obliczenie: Na podstawie liczby godzin dziennego świecenia się latarń otrzymujemy z rachunku jako rezultat, że razem całonocne i północne latarnie gazowe świecą się przez cały rok 2,994.375 godzin, co według budżetu kosztuje 93.420 koron czyli, że 365 godzin (a więc po jednej godzinie dziennie w roku) kosztuje przeciętnie w okrągłej cyfrze *12 koron*. Tak ma się rzecz z kosztami znakomitych, ogromnie jasnych palników Auera.

Przyjrzyjmy się teraz oświetleniu naftowemu. Przyjmujemy za podstawę tę samą przeciętną liczbę godzin dziennego świecenia, którą przyjęliśmy przy oświetleniu gazowem i otrzymujemy jako rezultat, że północne i całonocne lampy naftowe świecą razem przez rok cały 1,079.670 godzin, co według cyfr budżetu kosztuje 47.340 koron, a więc 365 godzin rocznie (po jednej godzinie dziennie) kosztuje mniej więcej okrągło *16 koron i 50 hal.*

Cyfry te mówią za siebie dość wymownie: godzina auerowskiego palnika w roku kosztuje koron 12, zaś naftowej lampy 16 koron 50 hal. Gdy porównamy siłę i natężenie światła auerowskiego, z kopcącym, śmiesznym wprost na ulicy knotkiem naftowym widzimy dopiero jak znacznie droższem jest naftowe oświetlenie. Miasto nasze posiada własną gazownię, a mimoto rok rocznie tyle tysięcy niemal za okno wyrzuca na lampy naftowe i tylko żywi najniepotrzebniej jakichś przedsiębiorców, którzy z zadania swego wywiązują się najgorzej i tylko zysk z tego ciągną.

Dwie nowe sztuki, mianowicie „Z biegiem fal“ (dramat w 2 aktach) i „Grzech“ (obraz dramatyczny w 1 akcie), wystawi wkrótce teatr krakowski. Autorem ich jest literat żydowski, p. Asz, który dotychczas pisał wyłącznie po hebrajsku. Zachęcony jednak przez wielu polskich literatów, postanowił wystąpić na arenie naszego piśmiennictwa. Wspomniany wyżej dramat jego „Z biegiem fal“ był już grany we Florencyi w przekładzie włoskim.

Sanatoryum dla suchotników. Zdaje się, że wreszcie i w kraju naszym powstanie, jak to już jest prawie wszędzie zagranicą, sanatoryum dla ubogich, piersiowo chorych. Rząd jest podobno skłonny do ofiarowania bezpłatnie gruntu pod taki zakład, a w celu wyszukania najstosowniejszego miejsca zwiedzi wydelegowana komisya, złożona z dr. Merunowicza, fizyka Legeżyńskiego, prof. Gluzińskiego i radzcy domenów Hirscha, miejscowości klimatyczne: Jaremcze, Mikuliczyn, Worochtę i Jamnę.

„Kalendarz Kółek rolniczych“, którego egzemplarz nadesłano nam właśnie do redakcyi, przedstawia się bardzo dobrze. Prócz zwykłego kalendaryum, przy którem zamieszczone są odpowiednie do każdego miesiąca rady i praktyczne wskazówki dla rolników, znajdujemy tam starannie dobrany dział literacki, wypełniony przeważnie popularnymi szkicami historycznymi z odpowiedniemi, znakomicie wykonanemi ilustracyami, dalej dział zajmujących i pożytecznych artykułów o rzeczach żywo obchodzących rolnika, w końcu dział kroniki ostatniego roku z obrazkami i dział informacyjny. Kalendarz jest wydany ładnie i starannie, drukowany czysto, a szczególniej ilustracye wykonane są bardzo dobrze. Obecnie zniżona cena kalendarza wynosi tylko 50 groszy za egzemplarz; do nabycia jest ten kalendarz we wszystkich księgarniach.

Fałszywy Donatello w Wiedniu. Przed paru tygodniami dzienniki wiedeńskie doniosły z ogromnym tryumfem, że w pewnym domu w Wiedniu, u zamiłowanego zbieracza rzeźb i obrazów znaleziono słynną wypukłorzeźbę Madonnę di Pazzi Donatella. Madonna ta zginęła była jeszcze w XVIII stuleciu podczas zamieszek wojennych i nikt nie wiedział, gdzie się ona znajduje, a niektórzy przypuszczali nawet, że zapewne została przetopioną przez jakiegoś ślusarza lub kowala. Wtem ktoś przypadkowo odkrył ją w zbiorach amatora wiedeńskiego dr. Grossa. Okazuje się jednak teraz, że radość z odkrycia tego wielkiego arcydzieła dłuta Donatella była przedwczesną. Znawcy orzekli, że jest to utwór nie Donatella, ale Bartolomea Bellano i to nawet jedno nie z najlepszych dzieł tego drugorzędnego mistrza.

Klofacz o wojnie. W sali hotelu „Savoy“ w Wiedniu wygłosił w poniedziałek poseł Klofacz odczyt o podróży swej po Mandżuryi. Omawiając sytuacyę wojenną wspomniał na wstępie o znanym rozkazie do armii, wydanym przed paru miesiącami przez Kuropatkina wówczas, gdy armia rosyjska miała rozpocząć ofenzywę; w rozkazie tym Kuropatkin, jak wiadomo, mówił, że armia jego już nadal nie będzie się cofała, lecz przystąpi do kroków zaczepnych i albo zginie, albo zwycięży. Otóż Klofacz powiedział, że rozkaz ten był tylko manewrem, bo do ofenzywy przystąpić będą mogli Rosyanie dopiero na wiosnę i wtedy wywiąże się walka, jedna z najkrwawszych, jakie zna historya. Przemocy wojskowej i finansowej Japonia ostatecznie uledz musi.

W Mandżuryi toczy się bój w zupełnie nowoczesny sposób, główną rolę grają tam: elektryczność, inżynierzy, artylerya. Mówca przedstawił następnie okropności wojny. W czasie ataków na miejsca oszańcowane rowy zapełnić się wprzód muszą trupami, zanim postępujący za nimi zyskają teren, po którym przejść są w stanie.

Antysemityzm w teoryi — a w praktyce. Polacy w Poznańskiem mocno rozgoryczeni na żydów, którzy całkiem jawnie łączą się teraz z Niemcami i na każdym kroku występują wrogo przeciw polskości, usiłując ją gnębić niezgorzej niż to czynią hakatyści, postanowili nic nie kupować od żydów. Również hakatyści, których nienawiść żydów do Polaków wcale nie przejednała, pozostali nadal antysemitami, nawołują się ciągle, aby kupować tylko u Niemców. Okazuje się jednak, że ten antysemityzm Polaków, jak i Niemców istnieje tylko w teoryi, w praktyce zaś nie istnieje, zwaszcza gdy chodzi o kupienie czegoś. Najlepszem potwierdzeniem tego jest fakt następujący. Przy sposobności odbytego niedawno zgromadzenia członków Spółki stolarskiej polskiej w Poznaniu okazało się, że w ostatnim roku stolarskie firmy polskie miały tam obrotu 725.000 marek, niemieckie 360.000, zaś żydowskie więcej niż polskie i niemieckie razem, bo aż 1,590.000 marek. Z tego się okazuje, że pomimo wszelkich haseł ludzie idą tam kupować, gdzie pod względem kupieckim znajdują najwygodniejsze dla siebie warunki. Ponieważ zaś żydzi są mistrzami w prowadzeniu handlu, a mistrzowstwo to osiągnęli dlatego, że wiekami przyuczali się do niego, przeto dzisiaj ludność polska i niemiecka daje im w handlu pierwszeństwo, jakkolwiek z politycznych pobudek czuje do nich nienawiść.

Nielada oszust. Sensacyjnym wypadkiem w Warszawie jest fakt następujący: Niejaki Rudziński miał magazyn futer. Otóż w tym roku udało mu się bardzo dużo futer wziąć na przechowanie podczas lata, ogłaszał się bowiem w dziennikach, że bierze je bardzo tanio, znacznie taniej, niż inni kuśnierze warszawscy. Kiedy nadeszła zima, okazało się, że p. Rudziński czmychnął dawno już przedtem, posprzedawawszy wszystkie te dane mu do przechowania futra. Poszkodowanych jest podobno kilkaset osób.

Na dwa lata ciężkiego więzienia skazał wczoraj sąd lwowski na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych 18-letniego chłopaka Jakóba Kuczerę, oskarżonego o usiłowaną kradzież garderoby na szkodę p. Tadeusza Barącza, artysty-rzeźbiarza.

Sensacyjna premiera. Z Berlina donoszą, że wystawiona tam onegdaj opera Leoncavalla „Roland,“ obstalowana u kompozytora przez cesarza Wilhelma, była prawdziwą sensacyą dnia. Za ostatnie dwa fotele w parkiecie zapłacono po tysiąc marek. Cesarz z rodziną cesarską oklaskiwali operę z zapałem. Przedstawienie trwało do $12^1/_2$. Przed gmachem opery stała tysiączna publiczność, która dla braku miejsc nie mogła być na tem przedstawieniu. Leoncavallo otrzymał od cesarza order korony III klasy, a jego żona kosztowny naszyjnik.

La Veleta. Co to takiego? Najnowszy taniec angielski — pomimo nieangielskiej nazwy La Veleta miesza rozlewną rytmikę walca z brzękiem kastaniet. Niemcy i Hiszpania podały sobie ręce — i u rodził się nowy taniec w Anglii. Po bostonie, — cake walk, po cake-walku — la Veleta! Spragnieni nowych wrażeń tancerze — znajdą podobno w tej nowalii zupełny powód do zadowolenia. A i widzowie zyskują, gdyż cake-walk bądź co bądź zbyt groteskowy — o łagodniejsze wyrażenie trudno — ustąpi nakoniec miejsca tańcowi, który nietylko nie jest zaprzeczeniem pięknych form ruchu, lecz owszem stanowczo ich się domaga. Jest tedy La Veleta zwycięstwem estetyki nad potwornością i dlatego powitać ją należy sympatycznie.

Zmarli. W Dębicy Karol Zygmuntowski, starszy komisarz budownictwa i naczelnik sekcyi konserwacyi kolei państwowych, w 49 r życia. — W Szwajcaryi dr. Artur Jaruntowski, asystent zakładu w Goerbersdorfie, w 43 roku życia. — W Krakowie Rudolf Ottman, kustosz biblioteki Jagiellońskiej i literat. — W Zwoleniu, w Królestwie Polskiem, Zygmunt Dutkiewicz, współpracownik warszawskiej *Gazety świątecznej*, autor kilku powieści nagrodzonych na konkursie tegoż pisma, oraz wielu artykułów, ogłaszanych pod pseudonimem „Jan Socha“.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 4, w poł. + 6. Bar. 760. Spada. Pochmurno.

Aforyzmy.

Naprawdę kogoś kochać, to znaczy w rozmowie z tą osobą tyle czynić ustępstw i tyle okazywać jej względu, że w końcu samemu przestaje się myśleć.

— Piękność twarzy kobiecej osądzić można dopiero w tej chwili, gdy tej kobiecie ktoś, od kogo ona długo na to czekała, powie: „Pani, ja bardzo, bardzo Panią kocham!“ W takiej chwili piękność jej dosięgnie szczytu.

Odpowiedź Redakcyi *WP. F. P. w Tarnowie.* Nazwa: cyfry „arabskie“ i cyfry „rzymskie“ nie jest ścisłą wobec wyników badań historycznych. Sądzono dawniej, że Rzymianie cyfry rzymskie sami wymyślili, że mianowicie znaki na jeden, dwa i trzy są utworzone na podobobieństwo palców, a piątka na podobieństwo dłoni. Znak L = 50 pozostawał zagadkowym. Obecnie stwierdzono, że cyfry te pochodzą od Babilończyków i za pośrednictwem Egipcyan i Etrusków dostały się do Rzymu, przyczem znak V u Etrusków oznaczał 10, ale mylnie zrozumiany był przez Rzymian jako piątka. Także cyfry arabskie pochodzą z Egiptu, są to mianowicie z pewnemi zmianami znaki, jakich Egipcyanie używali na oznaczenie daty w miesiącu. O cyfrach egipskich wiemy z „książki rachunkowej“, która się zachowała z czasu napadu szczepu Hyksos. Z książki tej między innemi widzimy, jakie trudności mieli Egipcyanie z oznaczaniem ułamków.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś: „Narzeczona milionerka,“ operetka H. Berté. — W piątek „Tkacze,“ sztuka G Hauptmanna i „Terakoja“ Tekedy Izuma. — W sobotę „Dziewczyna z fiołkami,“ operetka Hellmesbergera.

Colosseum w pasażu Hermanów Od 1-go do 16 grudnia nowy, zajmujący bardzo program. Na szczególną uwagę zasługują gimnastycy rodzeństwo Morgan, produkcye żonglerskie, prócz wielu innych jednoaktówka polska p. n. „W sądzie“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 13 grudnia.

(Z.) Giełda była dziś całkiem pod wrażeniem wiadomości o niesłychanych gwałtach, popełnionych przez opozycyę węgierską w sali sejmowej. Zaniepokojenie, wywołane temi wiadomościami, było wprawdzie znaczne, mimo to jednak giełda okazała stosunkowo wielką odporność przeciw tym niekorzystnym wpływom, gdyż spadek kursów nie przybrał zanadto dużych rozmiarów. Ku końcowi obrotów widoczne było nawet pewne uspokojenie pod wpływem doniesień bankierskich z Pesztu, że w kołach opozycyi węgierskiej wyłaniają się podobno bardzo poważne różnice poglądów na tę rewolucyę parlamentarną, różnice tak poważne, iż mogą doprowadzić nawet do rozłamu w solidarnym dotychczas obozie opozycyjnym.

Na wszystkich giełdach zagranicznych panowało dziś słabe usposobienie, co jest następstwem wczorajszej olbrzymiej deruty na giełdzie nowojorskiej. Przeszło dwa miliony rozmaitych akcyj sprzedano tam wczoraj, a spadek niektórych z nich wynosi czwartą część ich wartości. Przyczyny tego kolosalnego spadku szukać należy w zaniepokojeniu amerykańskich sfer finansowych, wywołanem ostatniem orędziem prezydenta Roosevelta, w którem przeczuwają powszechnie początek akcyi ustawodawczej, skierowanej przeciw trustom i przeciw tym kolejom amerykańskim, które swą polityką taryfową popierają szkodliwą dla publiczności działalność trustów. Mówią np. o tem, że w kongresie waszyngtońskim wniesiony zostanie projekt ustawy, odbierającej prywatnym przedsiębiorstwom kolejowym prawo samoistnego ustanawiania taryf przewozowych, lecz przelewającej to prawo na państwowy urząd komunikacyjny. Taka jedna ustawa zadałaby cios zabójczy wielu trustom, mającym do dyspozycyi własne, lub będące z nimi w spółce koleje żelazne.

Wedle bardzo wiarygodnych informacyj zarówno z francuskich jak i angielskich sfer bankierskich miesiące styczeń i luty przyszłego roku przeznaczone są na emisyę dwóch nowych pożyczek rosyjskich, obejmujących olbrzymią sumę 52 milionów funtów szterlingów czyli 1250 milionów koron. Mianowicie w styczniu wypuszczona ma być na rynku niemieckim $4^1/_2$-procentowa skonsolidowana renta rosyjska za sumę 20 milionów funtów szterlingów, a kurs jej emisyjny oznaczony zostanie poniżej pari. W lutym zaś ulokowane zostaną we Francyi 5-procentowe rosyjskie bony skarbowe za sumę 32 milionów funtów szterlingów. Publiczna subskrypcya na nie nie odbędzie się wcale, lecz banki francuskie obejmą je po cichu i starać się będą rozepchać je między swą klientelę.

Wedle ostatniego sprawozdania komisyi kontroli długów państwowych, było z końcem listopada br. jeszcze niewycofanych z obiegu dawnych not państwowych na sumę 2,782.000 koron, a mianowicie za 2,235.000 kor. not pięcioguldenowych, a za 546.000 kor. not pięćdziesięcioguldenowych.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Wiedeń 15 grudnia. Wobec rozpowszechnianych przez niektóre pisma pogłosek, że wskutek ostatniego głosowania w komisyi budżetowej zachwianą została pozycya dra Koerbera, donoszą ze strony półurzędowej, że kiedy po tem głosowaniu dr. Koerber przedłożył Najjaśniejszemu Panu telegraficznie do Gödöllö sprawozdanie o uchwale komisyi budżetowej, otrzymał wkrótce potem z najwyższego dworu telegram, wypowiadający mu najzupełniejsze zaufanie cesarskie i aprobatę na propozycye, jakie był dr. Koerber w swojej depeszy przedłożył.

Lipsk 15 grudnia. Wczoraj odbył się tutaj proces przeciw byłemu fryzyerowi w Luxemburgu Henzemu, zamieszkałemu ostatnimi czasy w Nancy, a oskarżonemu o zdradę tajemnic wojskowych. Henzego skazano na dwa lata więzienia i pięć lat utraty praw obywatelskich.

Madryt 15 grudnia. Gabinet podał się do dymisyi z powodu, że król nie chciał zamianować generała Lono szefem sztabu generalnego. Prezydenci obu izb parlamentu byli następnie u króla na posłuchaniu i radzili mu, aby byłemu prezydentowi ministrów Maurze powierzył ponownie misyę utworzenia gabinetu i aby mu polecił zarazem, żeby nie rozwiązywał Izby.

Paryż 15 grudnia. Dzienniki omawiają obszernie przyczyny samobójstwa Syvetona i donoszą, że wieczorem przed samobójstwem rozegrała się w pomieszkaniu Syvetona straszliwa wprost scena między nim, jego żoną i mężem jego pasierbicy Menardem. Podczas kłótni podniósł Menard przeciw Syvetonowi tak ciężkie oskarżenie, że pani Syveton, która uczuła się obrażona w swych uczuciach jako małżonka i matka, żądała natychmiastowego rozwodu. Po tej scenie oświadczył Syveton, że nie pozostaje mu nic innego, jak zginąć. Nikt ni przeszkadzał Syvetonowi w wykonaniu samobójstwa: *Gil Blas* donosi, iż Syveton miał ze swoją pasierbicą stosunek, który nie został bez skutku. Dopuścił się również rozmaitych nieprawidłowości pod względem finansowym. *Humanité* donosi, iż jeden z krewnych Syvetona zrobił doniesienie do sądu i podczas procesu miało przyjść do wielkiego skandalu To samo pismo donosi, że jeszcze w dniu dzisiejszym nastąpić ma sensacyjne aresztowanie, będące w związku z przyczyną samobójstwa Syvetona.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń 15 grudnia. Profesor historyi starożytnej na uniwersytecie wiedeńskim dr. Emil Szanto zmarł nagle wczoraj wieczór na udar sercowy.

Helsingfors 15 grudnia. Senator Grippenberg i były burmistrz Kalefeld, którzy otrzymali pozwolenie powrotu celem wzięcia udziału w obradach sejmu, przybyli tu wczoraj wieczór. Na dworcu zebrał się tłum, liczący przeszło 1000 osób i urządził im wielką owacyę.

Londyn 15 grudnia. Do *Daily Telegraph* donoszą z Szangaju: Japończycy rozpoczęli 13 bm. ponownie ogólny atak na Port Artura.

Petersburg 15 grudnia. Podczas przyjęcia deputacyi adwokatów z Petersburga i Moskwy nie przyjął minister spraw wewnętrznych ks. Światopełk Mirski uchwalonych przez adwokatów rezolucyj, gdyż dotyczą one zmiany formy państwowej.

Kraków 15 grudnia. Wczoraj przejechała znów przez Kraków do Wiednia znaczna partya dezerterów rosyjskich. Na dworcu krakowskim dwóch z nich otrzymało depeszę, że niepotrzebnie uciekają, gdyż do wojska już nie należą. Ci dwaj zatrzymali się w Krakowie.

Łódź 15 grudnia. We wtorek w nocy wpadł do sklepu Leona Edela przy ul. Południowej niejaki Ksawery Figaszewski z pięciu ranami na głowie i prosił o ratunek przed napastnikiem. Gdy brat właściciela sklepu, Baruch, wyszedł z Figaszewskim na ulicę celem wezwania pogotowia, wbiegł do sklepu jakiś nieznany mężczyzna, a porwawszy nóż leżący na ladzie, poderżnął nim Leonowi Edelowi gardło, poczem skrył go za szafę i zbiegł. Gdy Baruch Edel wrócił do sklepu, zastał brata konającego; wkrótce też Leon Edel zmarł. Także Figaszewski przewieziony do szpitala niebawem umarł.

Wiedeń 15 grudnia. Na ogólnych posłuchaniach przyjął dziś Cesarz między innymi: hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, Dawida Abrahamowicza, gubernatora Bilińskiego, posłów Barwińskiego i Królikowskiego.

Kraków 15 grudnia. Komisya reambulacyjna dla trasy kanału Skawina-Zator ukończyła już swe czynności na linii i od wczoraj pracuje w krakowskiem starostwie pod przewodnictwem radzcy Ustyanowskiego nad zestawieniem protokołu. Czynności te potrwają kilka dni.

Z sejmu węgierskiego.

Budapeszt 15 grudnia. Ulice prowadzące do gmachu parlamentu pilnowane są przez policyę. Około godz pół do 10tej większa część posłów opozycyjnych udała się gremialnie pod przewodnictwem hr Juliusza Andrassego, bar. Banffyego i hr. Apponyiego do parlamentu. — Sala posiedzeń przedstawiała ten sam obraz, co wczoraj.

Po godz. 10tej przybyli posłowie liberalni z Tiszą na czele. Między posłem Abaffym, który wystąpił z katolickiej partyi ludowej i wstąpił do liberalnej — a prezesem partyi ludowej Rakovszkym przyszło do gwałtownej sceny. Rakovszky nazwał go renegatem i odtrącił od siebie; Abaffy udał się wówczas do ław liberalnych, witany tam głośnymi okrzykami „Eljen“.

O godz. pół do 11 otworzył wicepr. Jakobffy posiedzenie. Obecność II wiceprezydenta bar. Feilicza na trybunie prezydyalnej wywołała niezadowolenie wśród posłów opozycyjnych, którzy głośno protestowali i wołali: Czego tu szuka Feilicz? Ten mimo to pozostał na swem miejscu, a Kossuth uspokajał kolegów.

Wicepr. Jakobffy wskazuje na to, że bar. Feilicz ma prawo zasiadać na trybunie prezydyalnej aż do ostatecznego ukonstytuowania się Izby i ponownego wyboru prezydyum. Zawiadamia, że kilku posłów zgłosiło się do głosu w sprawie regulaminu i udziela najpierw głosu hr. Juliuszowi Andrassemu, witanemu przez opozycyę długotrwałem „Eljen“. Następnie przemawiali Kossuth i Apponyi przeciw prowizorycznej zmianie regulaminu, poczem zabrał głos Tisza.

Budapeszt 15 grudnia. Hr. Juliusz Andrassy w przemowie swej oświadczył, że nie uznaje nowego regulaminu. Dziś krótko tylko pragnie przemawiać, w tej sali bowiem, gdzie złamano regulamin, w tej sali, w której poniszczono meble, gdzie panuje wzburzenie namiętności, wywołane nieszczęśliwą próbą ocalenia ojczyzny (wesołość na skrajnej lewicy), w tej sali — jak się mówcy zdaje — nie wolno wygłaszać długich mów politycznych. (Prezydent ministrów uśmiecha się.) To nadaremne. Z wielkim bolem wystąpiłem z tego stronnictwa, z którem łączą mnie wspólne zasady i silne węzły osobistej przyjaźni. Jednakże musiałem pójść za głosem sumienia i obowiązku.

Mówca uznaje patryotyczne zamiary większości, lecz potępia postępowanie jej. Protestuje przeciw prowizorycznej zmianie regulaminu, której nie uważa za ustawę, lecz za zwykłą rezolucyę, pozbawioną wszelkiej mocy ustawowej. Co się tyczy zachowania wobec prezydyum Izby, uszanuje mówca każdego prezydenta, bez względu na to, kto nim będzie, czy Perczel, czy inny, lecz jeśli ten prezydent będzie się trzymał ustaw i ściśle przestrzegał regulaminu.

Poseł Kossuth przyłącza się do wywodów Andrassego i prosi przewodniczącego, by protokół z posiedzenia 18go listopada weryfikował odpowiednio do prawdy, gdyż wówczas ani lewica, a z pewnością także większość prawicy nie wiedziała wcale nad czem się głosuje.

Poseł Apponyi protestuje przeciw uchwale o zmianie regulaminu i sądzi, że przeciw takiemu aktowi gwałtu trzeba zmobilizować cały naród.

Następnie zabrał głos hr. Tisza. Gdy powiedział, że należy obstrukcyę zniszczyć wszelkimi środkami, powstał na ławach lewicy nieopisany hałas. Hr. Tisza nie mógł dalej przemawiać, a przewodniczący przerwał na krótki czas posiedzenie.

Po otwarciu obrad opozycya i tym razem nie dopuszcza Tiszy do głosu. Przychodzi do licznych scen. Przewodniczący przywołuje wielu posłów do porządku, poczem ponownie zarządza przerwę.

HOTEL GEORGEA.

Pokoje ze światłem i usługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 15 grudnia. Hr. M. Koziebrodzka, J. Mittler, B. Meyer, S. Tüger i A. Foste z Wiednia. Hr. M. Wodzicka z Dalnicza. Ks. H. Szeliski z Komborni. A. Szlubowski z Podola. F. Kiel z Wrocławia. K. Menzel z Pawełcza. R. Pawełek z Cieszyna. M. Abramowicz z Botuszan. Dr. A. Tilles z Krakowa. Ks. H. Lubomirski z Rozwadowa.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 15 grudnia. M. Polański z Rostoczek. M. Dzieszkowski z Rawy. W. Niwicki z Bortnik. Dr. Steinberg i M. Welt z Czerniowiec. K. Rutkowski z Warszawy. N. Czaykowska ze Szwajcaryi. O. Schnell z Firlejówki. J. Kobliha z Wiednia. K. Ritzmann z Meklemburga.

HOTEL FRANCUSKI
Lwów — Plac Maryacki.
Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 15 grudnia. M. Dorożyńska z Rohatyna. K. Gęska z Beska. B. Kaiserowie z Brzeżan. A. Diani z Rzymu. J. Szawłowska z Kamionki Strum. H. Stegmann z Podwołoczysk. Z. Zosel z Sambora. N. Widajewicze z Wołcniowa. M. Szamszula z Jaworowa. O. Meisniger z Klosterneuburga. M. Ronsburger z Pragi. J. Raciborska ze Zborowa M. Strzelbicka z Czerniowiec. S. Niewiadomski z Dembicy. K. Mochnacki z Tyśmieniczan. S. Cyga z Buska.

Wiedeń 15 grudnia. (Giełda towarowa). Cukier 33·10—33·20 (słabo). — Spirytus 49·80—50·20 (słabiej). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 15 grudnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·00. Spirytus 00·00.

Paryż 15 grudnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 98·65. — Mąka („Fleur de Paris“) 31·35.

Frankfurt 15 grudnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 212·00. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00 Disconto 000·00. — Laura 000·00.

Budapeszt 15 grudnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 10·20—10·21, na październik 8·85—8·86; żyto na kwiecień 7·95—7·96; owies na kwiecień 7·20—7·21; kukurudza na maj 1905 7·59—7·60. — Rzepak na sierpień 11·10—11·20. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: ograniczona. — Usposobienie: lepsze. — Pogoda: łagodnie.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30 Wiedeń 15 grudnia.

Marki 117·61, renta majowa 100.05, węgierska renta koronowa 98·10, akcye: austr. zakł. kredyt. 674.25, węg. zakł. kred. 805·00, anglobanku 291.00, unionbanku 551.00, bankvereinu 552.25, länderbanku 450.00, kolei państw. 649.25, lombardy 88·00, akcye kolei Elbethal 413.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000·00, alpiny 490.25, Rima Muranyi 515.50, prag. Tow. żel. 000.00, losy tureckie 131.75, ruble 253·50. Usposobienie: utrzymane.

Lwów 15 grudnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 548·00 do 558.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic 5 proc. los w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101·80 do 102·00, 4 proc. los w 60 lat 98.80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·20 do 99.90 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.80 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·80 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99·10 do 99·80

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99.60 — 100·30 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.60 do 000.00, Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1878 $4^1/_2$ proc, —.— do —.—. 4 proc z 1898 r. 99·80—100.00 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.40 do 00.00. $4^1/_2$% po 200 koron 101.10 do 101.80.

Monety. Dukat cesarski 11.26—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.25. Sto rubli papierowych 253.50—255·00 Sto marek 117.80 do 117·90.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 20 lipca 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.0[illegible], 8.55, 5.4[illegible], 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.40, 5.80 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.20, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 8.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10. 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.85, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 5.08, 7.30
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8·00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.55**, 4.10*, 8.95, 6.20*, 10.[illegible]
Do Rzeszowa: 9.30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.30, 9* — 11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.48, 9.21*, 11.24
Do Tarnopola: 10.35 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.45**, 6.30, 10.45, 10.42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 8.65, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 10.50, 7.05*, 1[illegible] 10+ (każdej niedzieli).
Do Jaworowa: 6.50, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 8·40.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa, Zagórza: 10.[illegible]5*.

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

46)

Kobieta o silnej woli.

(Z niemieckiego.)

(Ciąg dalszy).

— Zuzanna? — zapytała, patrząc na mnie.— Zuzanna przestraszyła się bardzo. Sama ją odprowadziłam do zamku, a ludzie Stürmera przenieśli tam chorą Izę. Jak tylko będzie to możliwem, każę ją naturalnie tutaj przywieźć; dziś było to niepodobieństwem. Dla Zuzanny też niebezpiecznem byłoby takie wzruszenie i lękam się o nią bardzo, gdyż nie widziałam w życiu podobnie gwałtownej i namiętnej natury. Kocha tę starą prawdziwie, więcej niż przypuszczałam; kiedy się rzuciła z głośnym jękiem na łóżko, przestraszyłam się wybuchu jej rozpaczy. „Izo! Izo! nie umieraj! Nie zostawiaj mnie samej na świecie! Nie mam tu nikogo, nikogo prócz ciebie!“ — powtarzała bezustannie tak długo, aż jej w końcu sił zbrakło.

Słuchałam jak ogłuszona tego sprawozdania.

— Anno Maryo — odezwałam się wreszcie— ja tam jutro pojechać muszę.

— Jeżeli to będzie możliwem — odparła, skinąwszy mi głową twierdząco.

— Musi być możliwem, Anno Maryo. Połóż się teraz, obie jesteśmy zmęczone, śpij dobrze, jutro coś postanowimy.

Lecz sen nie zstępował dzisiaj na znużone moje powieki; Klaus, Anna Marya, Zuzanna i Stürmer plątali mi się bezładnie w chaotycznych, gorączkowych majaczeniach. Nagle usiadłam na łóżku przerażona głosem Zuzanny, który słyszałam wyraźnie: „Izo, Izo, nie umieraj! Nie zostawiaj mnie samej na świecie!“

Było to tylko złudzenie, lecz nie zaraz przekonałam się o tem; widziałam złamaną postać namiętnie obejmującą bezwładne ciało starej, uróżowanej kobiety i zawołałam pełna oburzenia: Niewdzięczna! czyż nie zabrałaś najwierniejszego, najszlachetniejszego serca? Czyż ono do ciebie nie należy? Jakiem prawem skarżysz się na opuszczenie?

I znowu zbudził mnie straszny krzyk trwogi: Stürmer rzucił się w dom płonący, który z trzaskiem zawalił się nad jego głową, a Anna Marya stała obok cicha, z pobladłą twarzą i mokremi włosami, spadającemi bezładnie na jej białe czoło. Oczy jej nieruchome, szeroko otwarte, z wyrazem bezgranicznej zgrozy patrzyły na dzieło zniszczenia, lecz łza nie zwilżyła suchej źrenicy, a krzyk bólu nie przyniósł ulgi piersi skamieniałej.

ROZDZIAŁ X.

Okropna noc. Ze zdziwieniem prawie spojrzałam nazajutrz na jasno wschodzące słońce, pogodne niebo i drzewa zielone, wesoło lśniące perłami nieobeschłej rosy.

Brockelman przyszła mnie ubierać, gdyż postanowiłam wstać koniecznie, a ramię bolało jeszcze bardzo i rękę miałam bezwładną.

Na pierwszy rzut oka spostrzegłam, że stara gospodyni ciężkie jakieś zmartwienie nosiła na sercu. Było to zresztą rzeczą łatwą, gdyż zwykle w takich razach miała zwyczaj wygładzania brzegów fartucha i chrząkania w szczególny sposób. Milczałam z początku, patrząc na to, lecz kiedy, zasznurowawszy mi trzewiki, usiadła na stopniach łóżka, raz po raz przesuwając rękę po fartuchu i nie mogąc znaleźć pierwszego wyrazu, aby powiedzieć, co jej leżało na sercu, zlitowałam się wreszcie nad niebogą.

— Cóż to wam, Brockelman?— zapytałam.— Czy macie kłopot jaki, czy zmartwienie? Powiedzcie. o co wam chodzi?

Ale zamiast odpowiedzi, starowina ukryła twarz w białym fartuchu i głośno szlochać zaczęła.

— Niech wielmożna pani napisze do młodego pana, aby zaraz powracał do domu — odezwała się nakoniec — bo tak dłużej być nie powinno. Anna Marya zmarnieje, a ja stara patrzeć nie mogę na jej zgryzotę i smutek. O wiem, co ją tak dręczy! Nigdy tego nie bywało przedtem, żeby pan młody odjeżdżał bez pożegnania z siostrą. Nie skarży się ona i odrazu nic nie powiedziała takiego, ale mnie starej nie potrzeba słów, żeby wiedzieć, co myśli. Znam ja ją lepiej niż siebie, lepiej niż brat rodzony, niż ktokolwiekbądź na świecie. Chowałam ją od małego dziecka, wypiastowałam na ręku, nauczyłam się też rozumieć jej spojrzenie i ruszenie każde. Oj, wiem też po co teraz chodzi wciąż do pokoju pana Klausa i tam się zamyka godzinami! Wiem, dla czego tak często ma oczy czerwone, a nie uśmiecha się nigdy. Tylko brat ciągle na jej ustach: „Brockelman, pan kazałby to tak zrobić, pan tak lubi, pan na to nie pozwala, jak pan powróci, jak przyjedzie“, i tak co trzecie słowo. Kiedy Krystyn z poczty powraca, to nieraz aż na podwórze do niego wybiegnie, a kiedy pan pierwszy raz napisał, widziałam, jak jej ręce drżały, gdy otwierała kopertę. Zajrzałam potem do pokoju, żeby spojrzeć na nią, i widziałam, jak siedziała z opuszczonemi rękami i głową smutnie pochyloną.

— „Stracony — szepnęła cicho — stracony! Nie ten już, co był dawniej! Inny!“ Usunęłam się prędko, bo wstała i wyszła do ogrodu. Zdawało mi się, że jest znowu małą dziewczynką z warkoczem, i poszłam za nią z daleka, jak dawniej, ażeby jej nie rozgniewać, a być przecie przy niej w strapieniu. Szła tak prędko, że ledwie nadążyć za nią mogłam, kryjąc się między drzewami, i na cmentarzu dopiero zatrzymała się przy grobie matki. Długo tam stała i myślała, a potem chodzić zaczęła tam i napowrót bezustannie, że mnie aż głowa rozbolała patrzeć na to, a ona nie czuła deszczu, nie zważała na wicher, co aż do kości przejmował. W końcu nie mogłam wytrzymać i nieśmiało podeszłam drogą, nibyto teraz dopiero spostrzegłszy ją tutaj, i czegoś tam zażądałam ze spiżarni. Poszła za mną i nic nie mówiła, a mnie odtąd jakby ołowiu nalał do serca.

I dużo też od tego czasu widziałam, czego nie bywało dawniej, a wszystko dobrze rozumiem. Wczoraj znów, kiedy wróciła od tego ognia taka zmieniona i blada, pomyślałam sobie, że trzeba zrobić jej polewki z wina. To rozgrzeje i wzmocni, i dobrze od zaziębienia napić się do łóżka. Tutaj nie śmiałam przeszkadzać, ale kiedy poszła do siebie, cichutko wsunęłam się też do pokoju. Ale nie dałam jej lekarstwa i wymknęłam się jeszcze prędzej, bo Anna Marya głowę oparła na stole i płakała tak okropnie, że mało mi serce nie pękło. Nie spostrzegła wcale, że weszłam, całe ciało jej drżało i słychać było wyraźnie tłumione szlochanie. A pan Klaus patrzył na to spokojnie ze ściany, jakby to nie jego siostra, jakby go już nie obchodziła, jakby nie on był przyczyną tych łez i tego żalu! Wiem, że gorzkoby jej było, gdyby się dowiedziała, że byłam świadkiem tego płaczu, bo strzeże się okazywać komukolwiek, choć ją co boli, i taką była od małości, ale przecie człowiek znieść tego nie może. Niech wielmożna pani napisze, żeby pan prędko powrócił, to znowu wszystko będzie dobrze, wszystko się może odmieni!

Poczciwa starowina! Wierna i przywiązana. O, gdyby, gdyby miała słuszność! Klau, powróci prędzej czy później, ale czy spokój powróci z nim także? Nie, o, nie; czuję, niestety że dni szczęśliwe i pogodne minęły już bezpowrotnie.

Brockelman moje milczenie wytłómaczyła sobie według swojej myśli. Nie przypuszczała, abym zaprzeczyć jej mogła.

— Wiem ja dobrze, wielmożna pani — ciągnęła dalej po chwili — odkąd się wszystko na złe obróciło. Gdyby tak na mój rozum i wolę, to byłabym odrazu powiedziała Krystynowi, kiedy przywiózł te komedyantki: zawracaj z niemi jak najprędzej, na miłosierdzie Boże, nie naszego to gniazda ptaki i razem nie wyżyjemy, jedno albo drugie zginąć musi. Toć człowiek widzi i słyszy, chociaż sam nie mówi. Pan jest za dobry, proszę wielmożnej pani, za dobry, dobroduszny, wierzący, i daj Boże, aby się na tem skończyło! Ludzie gadają, gadają, aż się żółci ulewa. Bo to i po wsi między czeladzią każdy się wtrąca w nieswoje. „Piękna panna z teatru przyjechała, a panu głowę zawraca.“ Ten tak, a ten inaczej, a przecież każdy wydziwia, że panu w oko wpadła. Taka ot, proszę pani, bezdomna przybłęda! I bądźże tu dobrym dla niej potem! Karolowa Marysia, proszę pani, jedna umie im zamknąć gębę, ale czy to na długo?; Żeby choć Anna Marya nie dowiedziała się o tem! Bo choć to przecie głupie bajki — dodała z podejrzliwem i niepewnem spojrzeniem — ale zawsze nie byłoby jej miło usłyszeć. Wiadoma rzecz, że nie taką znalazłby pan każdej chwili, gdyby chciał żony poszukać. Albo to mało pięknych młodych panien w sąsiedztwie naokoło, nie takiego obieżyświata przyrównywać do Anny Maryi. Aż serce boli

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny. **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.